Nr. 34 (1078). Warszawa, dnia 11 (24) Sierpnia 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Wrzenie na Bałkanach.

Kończy się jedna „kwestya," zaczyna się druga. Dzienniki, szczególnie w sezonie martwym, lubiące martwotę ożywiać wężami i smokami wyciąganymi z ust, doniosły o przyjeździe hr. Gołuchowskiego do cesarza w Ischl w sposób pozwalający domniemywać się wystąpienia dyplomatycznego Austro-Węgier w sprawach bałkańskich. Tym razem nie było węży ani smoków, nie strzelano do chmur, nie puszczano latawców, stwierdzono poważnie fakt, że wobec wrzenia panującego na Bałkanach Austro-Węgry mają do spełnienia jakiś obowiązek względem samych siebie na drodze dyplomatycznej i środkami dyplomatycznymi. Choćby przy tej czynności samozachowawczej nie miała się wyrodzić żadna „kwestya"— czego hr. Gołuchowski gorąco pragnąć musi — samo wrzenie, jako objaw i skutek działania pewnych sił żywych, pozarządowych i rządowych, jest kwestyą tak poważną, że minister spraw zagranicznych mógł bez płochliwości i sobie i cesarzowi spokój wczasów letnich zakłócić. Stan półwyspu jest istotnie niezadawalającym, jeśli się nań patrzy ze stanowiska dyplomacyi jako strażnicy pokoju, mającej w powołaniu, w naturze swojej gaszenie pożarów wojny tymi środkami, jakie daje rzemiosło, ćwiczące myśl w sztuce przekonywania. W danym wypadku pobudka musiała być tem silniejszą, że według umowy z r. 1897 *status quo nunc* na półwyspie ma być celem polityki, która, krępując samą siebie, czyni to tylko w oczekiwaniu, iż w układzie stosunków na terytoryum wspólnych wpływów nic się nie zmieni.

Oczekiwanie to, zamienione w stałe usposobienie, czy wymaganie logiczne, doznaje obecnie zawodu. Na półwyspie Bałkańskim wszędzie widać dążenia do rzeczy nowych, nieprzewidzianych, niepożądanych, układem nieobjętych. I rządom i ludom jest niedobrze, niewygodnie w tych formach, w jakich je przeszłość tak niedawna pozamykała; szukają nowych. Samo już zbliżenie się, chociaż tylko między panującymi dotychczas spełnione, Grecyi do Rumunii, wywołać może, jeśli nie niepokój, to pewne podejrzenie. Dotychczas nie było nigdy ciążenia wzajemnego ku sobie; tegoroczne spotkanie się pod Abbazyą jest jakby wejściem na nową drogę, która może mieć przed sobą przyszłość bardzo poważną, jeżeli stosunki między obu rządami z osobistych staną się rzeczowymi, a nikt nie zaręczy, zali już teraz nie nabierają tego charakteru. Dla dziejów najbliższych Bałkanii zacieśnienie węzłów rzeczywiście politycznych między Bukaresztem a Atenami miałoby znaczenie wielkie. Gdyby Rumunia była dość śmiałą, przedsiębiorczą i samodzielną w r. 1897, Grecya nietylko klęsk by nie doznała, ale nie toczyłaby wcale wojny z Turcyą. Dyplomacya Europy, lękając się wielkiego pożaru, byłaby wymogła na sułtanie odstąpienie Krety, bo ostatecznie w całej ówczesnej imprezie greckiej, tak licho podjętej i przeprowadzonej, chodziło tylko o Kretę. Turcya nie odważyłaby się na wojnę i z Rumunami i z Grekami, nie dlatego tylko, żeby im poradzić nie mogła, ale dlatego, że taka wojna stałaby się pospolitem ruszeniem wszystkich ludów i ludków całego półwyspu — wojną o wypędzenie Turków z Europy. Takich wojen Turcya nie chce.

Nieład w Serbii, upadek królewskości, zupełna nieumiejętność dla samowiedzy austryackiej jest cierniem boleśnie kolącym. Niema tak niedorzecznego polityka w Austryi, w którymby wznawiały się apetyty z XVIII w. na Belgrad, na Semlin, na szczyptę choćby ziemi serbskiej. Jeżeli jest państwo, jeżeli jest gabinet dyplomatyczny, który za przykładem Fredrowskiego pana Beneta powtarzać sobie powinien *beatus qui tenet*, to gabinet austryacki, ilekroć mu p. Kalay składa raporty o kwitnącym stanie Bośni i Hercegowiny. W każdym razie kwiaty hodowane dla kogo innego — jeżeli istotnie chwastów nie więcej, niż kwiatów: ta myśl wraca uporczywie do umysłu każdego trzeźwego w Europie polityka, aktora czy widza. A stan Serbii, podtrzymujący w niej wrzenie wewnętrzne, obudzić powinien w Wiedniu nietylko niepokój, ale nawet obawę. Z dynastyą, z królem, z jednostką czy ze zbiorowością rządu łatwiej sobie radzić w takich fałszywych położeniach, w jakich znajduje się okupatorka z r. 1878, niż z narodem, z ludem, z patryotyzmem, z uczuciem narodowem. Rok 1876, najazd Serbów na Bośnię, całe półwiecze, stwierdzające wzajemne rwanie się do siebie Czarnogórza i Hercegowiny — dają tu Austryi tragiczną przestrogę. Pod kwiatami kryją się węże; ani dwadzieścia, ani pięćdziesiąt lat panowania ich nie umorzy. Niezadowoleni, wrzący, nowe rządy i dynastye wyrzucić z siebie zdolni Serbowie, prawem w każdej silnej podniecie złożonem, sięgnąć mogą po Bośnię; o Hercegowinę, jako o swoją, upomną się Czarnogórcy, o których dzieje Europy, dzieje ostatecznego upadku potęgi otomańskiej w Europie, nie zapomną równie dobrze, a może i lepiej, niż o Serbach.

I w Bułgaryi nie wszystko idzie tak, jak

iść powinno, jeśli się na tę „powinność" spojrzy okiem austryackiem. Tam nawet rzeczywistość skacze niecierpliwiej do oczu. Uwolnienie współsprawców dwu morderstw, popełnionych w Rumunii, przez sąd przysięgłych, który w nich, nie podżegaczy widział, ale patryotów, jest wypadkiem znamiennym. Uwolnionego Sarafowa, prezesa komitetu macedońskiego, obnoszono tryumfalnie po stolicy, a powaga rządu, powaga księcia Ferdynanda tak zmalała, że ten sam przewódca patryotyczny, sięgający jednem ramieniem po Macedonię bułgarską, drugiem nie waha się wzruszać tronu, a może więcej jeszcze osoby na tronie siedzącej, Bułgarom wciąż jeszcze mimo wysiłków, poświęceń i dobrych chęci niemiłej. Szerzenie ruchu republikańskiego w samym kraju, wytknięte jako cel, może przynieść co najmniej rozstrój, którym będzie musiała już zająć się dyplomacya zbiorowa. Interes Austryi wytwarza w niej pragnienie, aby stosunki półwyspu mogły się jak najgłębiej zabagnić, aby stan pozytywny, zaprowadzony przez kongres berliński, utrwalił się na czasy jak najdłuższe bez żadnych wstrząśnień, które choćby przewrotów z siebie nie wydawały, przynoszą zawsze jedno wielkie niebezpieczeństwo—psyche narodową, duszę wyzwoloną z pęt, czującą i pragnącą i do lotów w przyszłość zrywającą się. Takie loty są zaraźliwe, z takich lotów może powstać Bośnia serbska i Hercegowina czarnogórska i cały półwysep Bałkański — na zawsze odrąbany od Austryi, nawet najcieńszą nitką dyplomatyczną niepołączony z Wiedniem. Majaczeniem jeno w tej chwili są wrzekome konferencye nad zmianą traktatu berlińskiego: ale nie są niedorzecznemi przewidywania, że w sprawie półwyspu dyplomacya, dotykająca się go, przedsięweźmie jakieś działania zabezpieczające posesyę i wpływy z posesyi wynikłe.

Z NIEMIEC

Berlin, 18 sierpnia

Zmarła w początku bieżącego miesiąca cesarzowa Fryderykowa była męczenniczką, której całe życie upłynęło na starciach z dworem berlińskim, Bismarckiem i szowinizmem pruskim. Rozpoczęło się początkowo od drobnych szpilek, a skończyło na ostrych zatargach i ostracyzmie politycznym, zawieszonym nad „Angielką." Już w miesiąc po swem przybyciu z Anglii młoda arcyksiężna Wiktorya, żona ówczesnego następcy tronu, Fryderyka Wilhelma, oświadczyła nie czerwieniąc się, iż chciałaby poświęcić się pracy i w tym celu zamierza rozpocząć studya nad wyższą matematyką. Zrobiono na razie ustępstwo. Lecz oto pewnego dnia Wiktorya zdobyła się na krok niesłychany. Nie meldując nikomu, poszła sama, bez otoczenia dam dworskich, do muzeum sztuk pięknych, gdzie spędziła kilka godzin. Krok podobny, według opinii kronikarza nadwornego, jest nieznanym w dziejach państwa pruskiego. Wtedy zrozumiano, iż od kobiety tak rewolucyjnej można się spodziewać wszystkiego. Rzeczywistość stwierdziła te złowrogie przeczucia. Gdy Bismarck wtrącił do więzienia po kolei dwu redaktorów radykalno-demokratycznej *Volks-Zeitung*, księżna zaprenumerowała heretycką gazetę, na której widok dworzanie żegnali się i poleciła ją jako jedyne prawdziwie liberalne, niezależne pismo, swemu otoczeniu. W tym właśnie czasie toczyła się nieubłagana walka pomiędzy rządem pruskim a parlamentem. Izba deputowanych odmówiła zatwierdzenia budżetu wojskowego. Bismarck zaś, nie krępując się tą odmową, ściągał podatki nieuchwalone przez instytucyę prawodawczą. Naiwna Wiktorya oświadczyła, iż spór bardzo łatwo można rozstrzygnąć, a mianowicie odprawiając z kwitkiem Bismarcka. W Anglii bowiem praktykuje się to już oddawna, iż z chwilą gdy ministeryum traci poparcie większości, ustępuje miejsca „leader'owi" tej ostatniej. W ten sposób woli narodu, zgodnie z zasadą demokratyczną, staje się zadość. Wiktorya wyraziła przytem swe zdziwienie, iż nikt dotychczas nie wpadł w Prusiech na tak arcyprosty pomysł, uniemożliwiający wszelkie zatargi pomiędzy rządem a parlamentem. Wtedy „Angielka" otrzymała rozkaz powstrzymania się od wszelkiego wścibstwa politycznego. Nie można jej było jednak zabronić poruszania tego rodzaju tematów w rozmowie z mężem. Wpływ jej na następcę tronu, małżonka, wzmógł się wówczas tak dalece, iż pod jej naciskiem w 1863 r. Fryderyk Wilhelm wygłosił w Gdańsku wielką mowę programową, w której potępił Bismarcka. Nazajutrz arcyksiążę otrzymał wiadomość, iż ma do wyboru dwie rzeczy: albo zrzec się praw do tronu, albo zaprzestać w przyszłości nicowania i krzyżowania planów rządowych.

W r. 1870 udało mu się wziąć poważny udział w wypadkach wojennych i dyplomatycznych. Wiktorya, zachęcona tą łaską Bismarcka, odważyła się również wystąpić na arenę polityczną. Mianowicie podczas oblężenia Paryża nadesłała prośbę do sztabu generalnego o szczędzenie nieszczęśliwego „serca Europy," ale wstawiennictwem swojem nic nie wskórała. Od tego czasu Bismarck nie spuszczał z niej oka i tłumił każdy krok samodzielny, księżna Wiktorya zaś znosiła despotyzm ten potulnie, nie chcąc wyrządzić krzywdy swemu mężowi. Raz tylko dała wyraz swoim uczuciom. Gdy przy pewnej okazyi Bismarck podał jej szklankę wody, patrząc mu w twarz, zwróciła się z temi słowy do swej sąsiadki: „Ile kropel w tej szklance, tyle łez kosztował mnie ten oto człowiek." Gdy mąż jej, leżąc na łożu śmiertelnem, objął ster panowania, Bismarck rozgospodarował się wszechwładnie, a junkrzy domagali się wypędzenia cudzoziemki napowrót do domu, do jej matki Wiktoryi. Po śmierci męża wycofała się z życia publicznego i tylko za Capriviego oświadczyła sympatyę swą Polakom. Był to jej śpiew łabędzi, po którym na zawsze zamilkła.

Roma locuta est: tym razem nie Rzym sam, lecz sługa jego, a mianowicie arcybiskup koloński orzekł, iż Polacy są „narodem zwyrodniałym." Nie należałoby brać tego komplimentu za złe ks. Simarowi w chwili obecnej, gdy Polacy, odważnie zdjąwszy maskę z jezuickiego oblicza cen-

Jan Schlaf.

Sprawiedliwość.

(Z niemieckiego).

Od miesiąca Gotfryd Ebelt nie miał zajęcia. Sam był winien temu po części, gdyż pracować nie miał już chęci. Z początku, od czasu do czasu, podejmował się jakiejś roboty, ale potem opanowały go myśli, pod których wpływem popadł w zupełną apatyę.

W marcu zmarła mu żona. To go ostatecznie dobiło. Nie wiodło mu się w życiu.

Po ojcu odziedziczył w północnej stronie miasta ładny domek bez długów i gospodarstwo furmańskie w najlepszym porządku, które mu dawało dobre i pewne utrzymanie. Za żonę wziął sobie biedną, lecz rozsądną, pracowitą i gospodarną dziewczynę. Z początku wszystko szło jak najlepiej. Jedno po drugiem przychodziły na świat dzieci — sześcioro żwawych, zdrowych malców: zarobek miał też piękny, gdyż były to czasy, ożywionego ruchu budowlanego, a Ebelt żył w dobrych stosunkach z panami budowniczymi.

Ale potem nastały złe czasy: zarobki się zmniejszyły, a nadomiar złego w przeciągu dwu lat wymarły mu wszystkie dzieci, poczem żona zaczęła chorować i zwolna niknąć. W inwentarzu i sprzętach poniósł też znaczne straty: konie padały i wszystko, jak to mówią, walić się zaczęło.

Przychodził cios po ciosie. Trzeba było zaciągać długi, aż kamień, który się na niego staczał, spadł i ciężarem go swoim przytłoczył. Zabrano mu domek i gospodarstwo i on, człowiek już w latach, widział się zmuszonym szukać zarobku jako najemnik. W tym czasie umarła mu żona. Od tej chwili Ebelt począł zapadać w zamyślenie, zaniedbywać się w robocie, tak że w końcu nie miał już nawet czem opłacić marnego komornego za nędzną dziurę w podwórku, którą w ostatnim roku z żoną zamieszkiwał. Gospodarz wyrzucił go na bruk.

Dwa dni i jedną noc błąkał się już bezdomny po dzielnicach Berlina. Nadchodziła druga noc. Wieczór był piękny, wiosenny. Ebelt zamierzał przepędzić ją w jakim zakątku Tiergartenu i chwiejnym krokiem wlókł się ulicą Fryderyka pod światłem okien wystawowych.

Wyglądał bardzo źle. Twarz miał pożółkłą i szarą, a odzienie zniszczone i pobrukane przez spanie na otwartem powietrzu, brodę zwichrzoną i posiwiałą, oczy głęboko zapadłe. Szedł powoli znużony i odrętwiały, niezdolny od śmierci żony otrząsnąć się z przygnębiającej martwoty, która go na własny los obojętnym czyniła.

Dokoła niego szumiało, turkotało rozbawione, wesołe życie Berlina. A on wśród tego ruchu bujnych sił, wspaniałego przepychu, czuł się jakimś zawstydzonym, ośmieszonym: jego na pół chłopska natura mieszkańca północnej dzielnicy, tam gdzie miasto nieznacznie w wieś przechodzi, objawiała się zaledwie świadomem siebie podziwieniem, mimowolną potrzebą gapienia się. Różnobarwne wspaniałości okien wystawowych, zapach perfum i dobrego tytuniu, który zostawiali za sobą przechodzący, jasne, wiosenne suknie kobiet, ruch pojazdów w różne strony pędzących — wszystko to go odurzało, oszołomiało.

Czuł się zatrwożonym, obłąkanym, jak biedne, spędzone zwierzę.

Przytem był głodny i chwilami dostawał takiego zawrotu głowy, że się aż o mur domu opierać musiał.

Kiedy nareszcie wszedł pod Lipy, uczuł się swobodniejszym; przeszedł ulicę i pod cieniem drzew skierował się ku bramie Brandeburskiej.

Blask zachodzącego słońca zdobił młodą zieloność drzew, purpurą oblewał Bramę i, mieniąc się wesołemi barwami, rozpływał w różanem odbiciu po jasnych niebiosach i dachach krytych blachą gmachów.

Piękność wieczoru, dzieci bawiące się i biegające dokoła, wyrwały go cokolwiek z odrętwienia. Siadł na ławce i zaczął się przyglądać jeźdźcom, konno zdążającym w różne strony. Przed oczami jego przesuwali się wojskowi w świetnych mundurach, cywilni w eleganckich kostyumach, panie w obcisłych amazonkach, a on, któ-

trum, rzucają mu w twarz słowa pogardy, a jednocześnie wypowiadają mu służbę polityczną. Gdyby w tej przykrej dla ultramontanizmu chwili wyrwał mu się z ust wyżej przytoczony przydomek, znaleźlibyśmy rzecz zupełnie w porządku. Tymczasem jednak jest zupełnie inaczej. Arcybiskup Simar wystawił niepochlebną cenzurę Polakom jeszcze wtedy, kiedy ci w swej łatwowierności tulili się pod skrzydła ultramontanów niemieckich. Na jaw wyszła rzecz dopiero teraz. Gdy Polacy, jakeśmy donosili o tem w poprzedniej korespondencyi, postawili swą własną kandydaturę w okręgu westfalskim, udzielając tym sposobem niedelikatne votum nieufności swoim „opiekunom," ci zaczęli wrzeszczeć w niebogłosy o niewdzięczności Polaków. Lecz wtedy zaszła rzecz przykra. Ks. Liss, który założył w Bochumie *Wiarusa polskiego* i za swą „polską agitacyę" został odwołany na Wschód, wydrukował słowo w słowo rozmowę, prowadzoną w swoim czasie z ówczesnym biskupem paderborskim, Simarem *).

Ci sami centrowcy, co jeszcze tak niedawno wypierali się solidarności z hakatyzmem, a z którym w głębi duszy prawdopodobnie sympatyzowali, dziś oblewają Polaków potokiem zarzutów. Obecnie krąży po prasie ultramontańskiej pełen żółci artykuł pierwotnie wydrukowany, w miejscu niedawnej porażki ultramontańskiej i trafiający, zdaniem katolików, w sedno rzeczy. Oto ustęp z tej jeremiady, która rzuca światło na przewrót, zachodzący w życiu, sercu i umysłach polskich emigrantów w Niemczech: „Nie ulega wątpliwości, że życie katolickie Polaków w okręgu industryalnym. (Westfalsko - Nadreńskim) pozostawia wiele do życzenia ...Najbardziej uderza, iż *upadek gorliwości kościelnej potęguje się wśród Polaków z każdym rokiem.* Skąd to zjawisko? Polscy agitatorzy, wodząc rej w prasie polskiej, nie omieszkają przytoczyć objaśnienia, iż brak duchownej opieki dla Polaków. Twierdzenie to jednak nie może nam wytłomaczyć dostatecznie zjawiska. W ostatniem dziesięcioleciu bowiem odnośni biskupi bardzo wiele zdziałali dla podniesienia opieki duchownej dla Polaków... A więc przyczyna uczuć tkwi w tem, iż Polacy zobojętnieli teraz dla spraw kościelnych... Jeśli obecnie uwidocznia się upadek życia religijnego, jeśli występuje obojętność, a nawet, co już się dawało zauważyć, pewna pogarda dla kościoła (Kirchenverachtung), jeśli księży spotykały nieraz obrazy i grubijaństwa ze strony Polaków okręgu przemysłowego, jest to skutek działalności wichrzycieli, którzy są mizernymi lub obojętnymi katolikami... robotników polskich podżegają przeciwko władzy kościelnej i wpajają im przekonanie, iż ksiądz niemiecki wogóle nie nadaje się dla Polaków. Cały szereg księży podjął się trudu nauczania polskiego, biskupom przysporzyło to kosztów, a tymczasem ci właśnie księża są najbardziej prześladowani, oczerniani i spotwarzani, jak gdyby byli najgorszymi wrogami Polaków. Agitatorzy rozpowszechniają wśród ludności pracującej małe pisemka podżegawcze, w których głosi się nienawiść do Niemców i pogardę dla księży niemieckich; zresztą nie poprzestając na księżach, mają odwagę zohydzać w sposób nikczemny biskupów." Ten wysoce znamienny akt oskarżenia, sfabrykowany w miejscowej gazecie westfalskiej, jakeśmy rzekli, odbył wędrówkę po całej prasie katolickiej Niemiec, roznosząc wszędzie wiadomość o „buncie polskim." Tylko *Kölnische Volkszeitung*, organ demokratycznych ultramontanów, składa całą winę sporu na hakatystów, tusząc sobie, że znowu zapanuje zgoda pomiędzy niemieckimi a „po polsku mówiącymi" katolikami. Zdaje się jednak, iż zburzono zupełnie most zgody pomiędzy wyzyskiwaczami ultramontańskimi a prowadzonymi na pasku Polakami.

H. F.

*) Rozmowę tę czytelnicy znajdą w korespondencyi z nad Odry i Warty. *Przyp. Red.*

Tydzień polityczny. Protokół pokoju miał być jakoby podpisanym przez posłów europejskich już 13-go, przez Chińczyków 15-go; rzeczywiście, według *Timesa*, dyplomaci dyktujący Chinom warunki, sami podpisali akt w d. 15 b. m., a Li-Hung-Czang, otrzymawszy go nazajutrz, na 20 b. m. miał zdążyć z podznaczeniem stwierdzającem wolę cesarską. W ostatniej wszakże chwili wystąpiły trzy przedmioty należycie w wolę tę niezaopatrzone; prawdopodobnie też termin 20 go minął jeszcze bez podpisów chińskich. — Powracają już matadory bojowe do Europy: po Walderseem, który jeszcze 29 lipca zawinął do Algeru, teraz Seymour, dowódca na morzu i na lądzie. Powitaniu Walderseego z całą pompą, ulubioną towarzyszką myśli i woli cesarza Wilhelma, stanęła na przeszkodzie śmierć cesarzowej Fryderykowej i konieczna, dla samej przyzwoitości żałoba. On sam wynagradza sobie stratę gadulstwem, które nawet w dziennikarstwie wielkoniemieckiem, raczej wielkopruskiem, wywołuje niesmak. Generalissimus na papierze przemawia, jakby był kandydatem na następcę Bülowa. Seymoura powitał Londyn owacyą uliczną. Gdzie takie Kitchenery są wielkimi, tam i Seymourom laur uśmiechać się musi: tandeta dziejowa, której Anglicy wystrzegali się dotychczas. Widać ją i w podwiązce danej Walderseemu przez Edwarda VII w Berlinie. Wojska powracają, wszakże z pewną ociężałością. Anglicy chcą jeszcze cały wrzesień w Pekinie zabawić. Dwór chiński powrócić ma 23 b. m. Cesarz jest chory; cesarzowa, po dawnemu, — wszystkiem. Wieści o nowych bokserach, nawet o rzeziach, rozpuszczane przez Europejczyków, są niegodziwymi objawami zaborczej chciwości, która raz schwytawszy za gardło, nie chce już puścić, póki nie zdusi. Ruch narodowy jest bardzo pożądany i powinien być ideałem ludzi uczciwych. Po Europejczykach przychodzi druga plaga — głód. Są nawet telegramy o urządzeniu jatek — z mięsem ludzkiem... Nowy pochop do nowej wyprawy w imię cywilizacyi.

Niedługo tryumfował Sarafow. Na kongresie „macedońskim." tj. patryotów wyciągających dłoń pomocną braciom w Macedonii, okazało się, że prezes komitetu wykonawczego przeniewierzył fundusze związku i jest zgubionym, umarłym — chroni się za granicę. Przykre to bardzo dla stronnictwa, dla rewolucyi jako zasady twórczej czynów dziejowych. Rząd bułgarski ma rozpędzić związek: szuka on przytułku. Gdyby go znalazł w Czarnogórzu, ks. Mikołaj stanąłby odrazu na czele półwyspu. Wieści o bliskim zjeździe króla Aleksandra z księciem czarnogórskim w Rzymie i o zamierzonem jakoby zwarciu się dynastycznem na wypadek bezpotomnego zejścia męża Dragi Maszynowej — są zbyt zajmujące, aby prawdziwemi być mogły.

Z mowy ministra wojny Andrego w Auxonne widać, że monarchiści świeżo wypuścili między wyższych oficerów francuskich jakiś okólnik, wzywający do budowania tronu. Minister chwali

---

ry miał całe życie z końmi do czynienia, radował się w duchu widokiem tych zwierząt dobrze utrzymanych i żywionych. Pod wpływem tych uczuć smutna twarz jego rozjaśniła się łagodnemi myślami, w których odżyły wspomnienia ubiegłych czasów.

Z rękami przez poręcz zwieszonemi, w czapce spłowiałej i pogiętej, siedział na brzegu ławki oparłszy zjeżoną brodę. Kto zatrzymywał się w tem miejscu dla chwilowego odpoczynku, starał się usiąść jak najdalej od brudnego, starego włóczęgi.

Tak dotrwał, aż się zupełnie ściemniło. Na chodnikach zapalano latarnie jedną po drugiej. Daleko, w głębi fioletowo-mrocznych ulic światełka ich połyskiwały jak ogniki i zbliżały się coraz większe, jaśniejsze, aż wśród ciemnej masy drzew rozbłysły jak wielkie, białe kule elektryczne.

Ebelt podniósł się i zanurzywszy ręce w kieszeniach swej starej, podartej kurtki, poszedł zgarbiony dalej. Przekroczył Plac Paryski, minął olbrzymie słupy i wszedł do bramy. Przez tłum koni, tramwajów, dorożek, powozów i ludzi przedostał się w głąb i usiadł na jednej z okrągłych ław kamiennych, stojących w pobliżu drogi charlottenburskiej. Śmiertelnie znużony chciał tu zaczekać, aż będzie zupełnie ciemno, by pod zasłoną nocy ukryć się w jakim zakątku Tiergartenu. Cały dzień prawie nic nie jadł. Zaczęły przebiegać go dreszcze, więc sięgnął do kieszeni po butelkę, w której znalazł jeszcze trochę wódki, wypił i rozgrzał się cokolwiek.

Dopiero w ostatnich dniach zaczął pić wódkę, przedtem nigdy jej się nie dotykał; najwyżej jeśli sobie pozwolił na szklaneczkę piwa w niedzielę, kiedy z żoną i dziećmi zaszedł do jakiej restauracyi ogródkowej na przedmieściu.

Gorzałka odurzyła go trochę, więc rozmarzonym wzrokiem wodził po otaczających go przedmiotach: po czarnym tłumie spiesznie przemykających przechodniów i toczących się pojazdów, tu i owdzie blaskami płomieni gazowych rozjaśnionym; po wykwintnych frontach wspaniałych budowli, które po prawej stronie wśród drzew ciągną się długim szeregiem, aż do ulicy Lenné, a po lewej dochodzą do samego gmachu parlamentu; po czarnej sklębionej masie wysokich, starych drzew i wielkiej latarni gazowej tuż na placu.

Ae! — ziewnął i ręką szeroką, brunatną i grubą przesunął zwolna po udzie.

Na spodniach szerokiemi plamami czerwieniły się ślady cegły, z którą miał do czynienia podczas ostatniej swej roboty przy budowie na przedmieściu.

Martwym wzrokiem wpatrzył się w zbrukane miejsca odzieży i kościstemi palcami zaczął je bezmyślnie wycierać.

I nagle stanęła mu przed oczyma nędzna izba na przedmieściu, na piątem piętrze, zimna, wilgotna, wiatrami przewiana, gdzie oboje z żoną przeżyli ostatni rok — Bóg tylko wie po co? — i blada, straszne wyniszczona twarz biedaczki, jak w ostatnich chwilach, gasnącym już wzrokiem, w którym jeszcze malowała się troska i miłość o niego, patrzyła mu w oczy, żegnając się z nim na wieki, a on oniemiały, tłumiąc łzy, siedział na brzegu nędznego łóżka i trzymał ją w ramionach, aż do chwili, kiedy wydała ostatnie tchnienie.

Błędnym wzrokiem wodził pośpiesznie przesuwającym się tłumie, ruchem bezmyślnym tarł spodnie i śmiał się cichym, krótkim śmiechem.

Potem znowu zapadł w odrętwiałe milczenie, tylko w kącikach ust błąkał się jeszcze przed chwilą zastygły tam uśmiech i oczy pozostały zmrużone. Miał taki wyraz, jak gdyby myślał o czemś przyjemnem, prawie taki jak wówczas, kiedy, po dobrym zarobku dnia całego, wracał wieczorem do domu, a dzieci w oczekiwaniu jakiegoś przysmaku radośnie wybiegały na spotkanie jego. Tymczasem zalewał go ból i wstyd, paliła głęboka rana, którą los zadał jego uczuciom słuszności i osobistej godności, przejmował ostry lodowaty chłód.

Zmarniał! zgnił — stał się włóczęga bez czci!...

Znowu wziąć się do pracy? Łza zabłysła mu w oku i zwolna jedna stoczyła się po żółtym policzku i przepadła w brodzie.

Pracować? Znowu pracować?

No tak! zapewne! Ale Jutro. Jutro pójdzie na przedmieście, tam gdzie budują.

Kiedy po długiem zamyśleniu podniósł oczy, w górze błyszczały już gwiazdy. Z trudem dźwignął z ławy zbolałe członki i zniknął w otaczających go ciemnościach.

się, że komendanci korpusów pisemko to poprzysyłali rządowi, ale nie odpowiada na pytanie: czy prócz nich nie było innych jeszcze wezwanych i czy ci tak samo buntowniczą namowę podali do wiadomości rządu.

D. 17 b. m. rząd francuski ogłosił regulamin urządzający wykonywanie nowego prawa o stowarzyszeniach wyznaniowych, zakonach i innych zespoleniach na tle życia religijnego.

Między Wenezuelą a Kolumbią wojna. Zaczęło się od obustronnego spiskowania na terytoryum sąsiedzkiem; skończy się pewno interwencyą Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej i zajęciem części Kolumbii.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NAD WARTY I ODRY.

W ostatnich czasach nagromadziło się dość faktów, niedających sprawie stosunku społeczeństwa polskiego do partyi centrowej zejść z porządku dziennego. Po kwestyi samodzielności wyborców polskich wyłoniła się w okręgu Duisburg-Muhlheim-Rohrort dość nieoczekiwanie sprawa zatargu księdza Lissa z jednym z najwybitniejszych dostojników kościoła katolickiego w Niemczech—arcybiskupem kolońskim, Simarem.

Ks. Liss, kapłan polski, założyciel klerykalnego pisemka dla robotników polskich, pracujących w Westfalii (*Wiarus polski*) od szeregu lat rozwijał działalność wśród wychodźców polskich na zachodzie Niemiec. Dbał on głównie o to, ażeby skupieni tam rodacy otrzymywali pociechę religijną w języku ojczystym. Ma się rozumieć, że jego zwierzchnicy — wyższy kler niemiecki — zapatrywali się na całą tę działalność z wielką niechęcią, upatrując w niej szkodliwą „agitacyę polską," a już polskiego pisemka, wydawanego dla Polaków w Westfalii, wprost strawić nie mogli i żądali od ks. Lissa jego zawieszenia. W końcu ks. Liss musiał pismo odprzedać komu innemu, zawarowawszy kontraktem jego charakter katolicki na wieczne czasy.

Obecnie z powodu wyborów w Nadrenii ks. Liss ogłosił odezwę, w której nawołuje Polaków do otwartego zerwania z centrum na Śląsku i do wybrania tam w najbliższej przyszłości dziewięciu własnych posłów. Jednocześnie ks. Liss publikuje szczegóły swej rozmowy z biskupem Simarem, jaką miał przed siedmiu laty. Ta właśnie rozmowa wywołała bardzo silny efekt w prasie.

Ks. Liss udał się był do Paderbornu, ówczesnego siedliska biskupa Simara, ażeby się ostatecznie porozumieć w sprawie *Wiarusa polskiego*. Wywiązała się między nimi następująca rozmowa, którą podaję w najcharakterystyczniejszych ustępach:

Simar. Cóż ksiądz chcesz z tą polityczną gazetą? Jeżeli mi tu ksiądz tę gazetę zostawisz, to wytworzą się tu stosunki, jak na Wschodzie. A skądże ja mam wziąć tylu księży polskich?

Liss. ...Dziećmi polskiemi wcale się nie zajmuję, bo nie mam czasu na to, te się więc germanizują, a starzy jak urośli, takimi zapewne do śmierci pozostaną. Księży zaś tymczasowo trzech wystarczy...

Simar. Dzięki Bogu, że, jak mi ksiądz powiadasz, przynajmniej drugie i trzecie pokolenie się zniemczy, lecz gazeta polska jest tu zbyteczna i proszę ją skasować.

Liss. Nie rozumiem, dlaczego mam moich rodaków gwałtem germanizować i nie wiem, jak to uczynić.

Simar. Bo Polacy są „ganz verkommenes Volk" i im prędzej się zgermanizują, tem lepiej dla nich.

To scharakteryzowanie Polaków przez dzisiejszego kardynała kolońskiego, jako całkiem upadłego narodu, nie mogło nie oburzyć wszystkich — aż do zdecydowanych klerykałów polskich. Powstała wrzawa w prasie i kto wie, czy odezwa ks. Lissa nie będzie jednym z tych kamieni, które ostatecznie powalą panowanie centrum nad częścią ludu polskiego.

Centrum zawdzięcza Polakom 13 mandatów w parlamencie, nic więc dziwnego, że wzrastająca niechęć wyborców polskich do centrum musi je niepokoić. Główny organ centrowców, *Germania*, pisze: „Niepodobna zaprzeczyć, że nieporozumienie pomiędzy katolikami polskimi a niemieckimi w Prusach zrobiło w ostatnich czasach postępy godne pożałowania. Szukając powodów tego faktu, nie należy zapominać, że Polaków doprowadzono nieustannemi napaściami hakatystów i mnożącemi się surowemi rozporządzeniami rządowemi do łatwo zrozumiałego rozdrażnienia. Nietylko klasy inteligentne społeczeństwa polskiego, ale i zwyczajny lud zrozumiał to z czasem, iż idzie o walkę na śmierć i życie, o istnienie lub zagładę, którą katolicy polscy będą musieli stoczyć. W dalszym ciągu *Germania* oddaje pochwały Polakom, którzy nie chcą się dać zjeść w kaszy i bronią się jak mogą, mówiąc: „czapkę zdjąć należy przed Polakami, zdecydowanymi bronić do ostatka, za każdą cenę, swego języka i wiary." Druga połowa cytowanego przez nas artykułu *Germanii* wygląda już całkiem inaczej i zupełnie zaciera wrażenie pierwszej. Bo posłuchajmy tylko skarg głównego organu centrum, a zrozumiemy, co to za niewdzięczny naród ci Polacy. Na prześladowanie ich przez rząd i hakatystów odpowiadają — „wybrykami," do których należą przedewszystkiem: 1) wykroczenia w prasie i w życiu publicznem przeciwko rządowi i władzom pruskim i 2) fałszywe oskarżanie katolików niemieckich i ich przedstawicieli na gruncie religijnym i wyznaniowym, biskupów i centrum. W ostatnich czasach — ciągnie dalej *Germania*—zwróciły się napaści prasy polskiej — i to nietylko radykalno-liberalnego jej skrzydła, ale i gazet konserwatywnych, przeciwko centrum i biskupom. Wytykano w tych pismach, że w 13 okręgach wyborczych centrum zależy od Polaków. „A przecie chodzi tu o okręgi górnośląskie, które zawsze wybierały kandydatów centrowych! Czyż więc to prawda, jeżeli mówi się o wielkopolskiej agitacyi? W końcu *Germania* rzuca się na ks. Lissa, oświadczając, że „prasa niemiecko-katolicka nie zezwoli na to, ażeby najczcigodniejszych biskupów łżono i ażeby przedstawiano ich jako wrogów narodu polskiego" i grozi skarceniem we właściwy sposób zuchwałości zwykłego proboszcza, ośmielającego się występować przeciwko kardynałowi.

Prasa polska nie pozostała dłużną w odpowiedzi i wytknęła centrowcom cały szereg wykroczeń przeciwko Polakom, pięt-

---

...Nie wiedział, jak długo tam już leżał, kiedy uczuł, że go ktoś szarpie.

Ujrzał hełm i błyszczące guziki munduru, patrzył wystraszonemi oczami.

Ktoś ostrym głosem mówił do niego.

On nie mógł zrozumieć, czego od niego chciano.

Aż mocna ręka strąciła go z ławki i silnie pod pachę ujęła.

Ach! Strażnik!—Policyant!

Ma wstać... z nim iść... do urzędu policyjnego.

No, tak... Cóż z tego?...

Na poły ciągniony, szedł, potykając się obok strażnika.

Nagle oprzytomniał zupełnie.

Na policyę?... cóż jemu do policyi?...

Chce coś powiedzieć... lecz...

Jak we śnie posuwa się wśród powodzi jasnego światła latarń przez puste ulice, śpiącego miasta i znowu zanurza się w ciemność. Weszli w boczną ulicę. skręcili na drugą, na trzecią i tak dalej.

Mimowoli szuka pięści, która go trzyma, naprzód prowadzi i której ujęcie ból mu sprawia, ale jest jak ogłupiały. Chce coś powiedzieć, lecz usta jego nie mogą wydać żadnego dźwięku.

Nakoniec zatrzymali się przed dużym, czarnym gmachem. Jedna latarnia rzucała czerwonawe światełko u ciemnego wejścia małej bramki.

— Marsz! Naprzód!

Wepchnięto go do długiego przedsionka, oświetlonego żółtawym płomieniem gazu. Po dwu stopniach stanął we drzwiach, które się otwarły.

Przyćmione płomyki gazowe oświetlały izbę nagą, w której za drewnianą przegrodą stały wielkie biura. Barczysty policyant drzemał przy jednem; ten, który siedział przy drugiem, bujał się i ziewał.

Znalazł się w wązkim, ciemnym korytarzu. Otworzono jakieś drzwi, nad któremi w zagłębieniu palił się gaz. Tu było ciasno, mroczno, w powietrzu panował zaduch i unosiła się wstrętna woń alkoholu.

Drzwi zamknięto. W zamku zaskrzypiał klucz kilkakrotnie obrócony, poczem rozległy się ciężkie kroki, ginące w dali.

Ebelt stał, nie ruszając się z miejsca.

Z ciemnego wnętrza dolatywało go głośne, grubo chrapanie. Na drewnianym tapczanie rozciągnięty leżał chłop z najeżonymi włosami, z twarzą pijaka.

Ebelt rzucił się do drzwi jak szalony, pięściami zaczął w nie walić i ryczeć z całych sił.

Chrapanie w ciemnościach ustało, tapczan zatrzeszczał i spity, ochrypły głos zawołał.

— Cóż u dyabła! Połóż się i stul pysk!

Ale Ebelt ryczeć nie przestawał, a ten wrzask jego rozpaczliwy przechodził chwilami w głuche wycie.

Gdzieś w głębi budynku rozległy się kroki.

Kazano się uciszyć natychmiast.

Ale on nie słuchał. Ryczał i wył dalej...

Za drzwiami ktoś zaklął, słychać było jakąś rozmowę i znowu kroki odalających się.

Ebelt padł wyczerpany. Ukrył twarz w dłonie i zaczął szlochać jak dziecko.

Tak leżał długo.

Aż drzwi otworzyły się znowu: ktoś pochwycił go za ramię i podniósł do góry.

— Naprzód! marsz! Pojedziemy dalej. Jeszcze w jedną maleńką podróż raczy się puścić pan dobrodziej.

Wypchnięto go z korytarza, a w kancelaryi przetrząśnięto jego kieszenie. Znaleziono kawałek sznurka, buteleczkę, hubkę i krzesiwo, nożyk składany. I znowu po schodach wyprowadzono go do sieni. Przed bramą domu, na ulicy stał wielki wóz ciemno-zielony. Ebelt wepchnięty do środka, upadł złamany na ławkę. Urzędnik wsiadł za nim i zajął miejsce w oddzielnem przegrodzeniu przy samych drzwiczkach.

Ebelt nie był sam. Na ławie obok niego siedział jakiś jegomość w cylindrze i podszarzałym letnim paltocie, oraz tęga baba w chustce na plecach z obwisłymi policzkami, małemi błyszczącemi oczkami i wielkim czerwonym nosem.

Z głuchym trzaskiem, trzęsąc i turkocząc, wóz ruszył w drogę.

mując hakatyzm duchowieństwa niemieckiego, przytaczając mnóstwo dowodów na szerzenie germanizacyi przez kościół itp. Przypomniano wydane przed ośmiu laty tajne okólniki arcybiskupa wrocławskiego, dziś kardynała Koppa, w których ten hakatysta kościelny nakreślił dla swych podwładnych księży na Górnym Śląsku cały plan kampanii germanizacyjnej.

To osłabienie powagi biskupów niemieckich przez bardzo znaczny odłam prasy polskiej posiada daleko donioślejsze znaczenie dla rozwoju politycznego żywiołu polskiego w Prusach, aniżeli się może wydawać na pierwszy rzut oka. Masy ludowe, które dotychczas szły pokornie na pasku kleru tak niemieckiego, jak i polskiego, zaczynają oswajać się z myślą, że można nietylko krytykować ten kler, ale burzyć się przeciwko niemu i nie uznawać jego hegemonii na polu akcyi politycznej. Śmiała krytyka postępowania biskupów, na razie tylko niemieckich, w dalszym ciągu doprowadzi niechybnie do osłabienia klerykalizmu, tej klęski naszego społeczeństwa w Poznańskiem.

Początki tego procesu dają się już teraz zauważyć i, co najcharakterystyczniejsze, sam wyższy kler w Poznańskiem jak gdyby zamierzał zrzygnować z przewodniego stanowiska w społeczeństwie polskiem. Powszechną uwagę zwrócił artykuł nieurzędowego organu arcybiskupa Stablowskiego, *Kuryera poznańskiego*. Nie brak też w ostatnich czasach faktów, bardzo dyskredytujących poszczególne jednostki z pomiędzy księży.

Tak np. sprawa, wytoczona kilkudziesięciu przedstawicielom młodzieży polskiej, przeważnie gimnazyalnej, w znacznej mierze opiera się na materyałach, dostarczonych prokuratorowi przez ks. Teitza, katechetę z Chełmna, oraz ks. Ossowskiego, katechetę brodnickiego. Zwłaszcza pierwszy odegrał w tej sprawie bardzo brzydką rolę.

Kiedy władze pruskie, znalazłszy podczas rewizyi u księgarza, p. Witolda Leitgebera w Ostrowie, dowody istniejącego jakoby porozumienia z nim gimnazyalistów, zaczęły szukać jakiejś tajnej organizacyi młodzieży, zabrał się do śledzenia swych uczniów i dyrektor gimnazyum w Chełmnie, Preuss. Ponieważ rewizye nie odniosły żadnego skutku, przeto Preuss postanowił za wszelką cenę wydobyć potrzebne mu dane z abituryenta Gończa. Gdy ten długo opierał się wszelkim namowom do zdradzenia kolegów, dyrektor wpadł na pomysł wydobycia zeznania w chwili, kiedy Gończ powracał od spowiedzi. Dyrektor wraz z księdzem katechetą tłomaczyli biedakowi, że po spowiedzi obowiązany jest mówić szczerą prawdę. Gończ jednak długo nie dawał się zbić z tropu. Dopiero kiedy ks. Teitz zapewnił go, że przysięga, jaką złożył wobec kolegów, nie może go obowiązywać, oszołomiony chłopiec wyznał wszystko, o czem tylko wiedział. Ks. Teitz uzasadniał swą argumentacyę w następujący sposób: Gończ, aby nie zdradzić istnienia towarzystwa, obowiązany był na wszelkie zapytania odpowiadać, że o niczem nie wie; skoro jednak o towarzystwie wiedział, przeto przysięga zobowiązywała go do kłamstwa, a ponieważ kłamstwo jest czynem niemoralnym, więc *eo ipso* przysięga nie była ważna. Postępowanie ks. Teitza bardzo przypomina taktykę ks. Librewskiego w głośnej sprawie t. zw. „Omladiny Tarnopolskiej“ z r. 1894. Zapewne jednak epilog procesu toruńskiego będzie inny, aniżeli procesu w Tarnopolu. Młodzież w Poznaniu nie zostanie bez wątpienia uwolniona od odpowiedzialności, choć nic strasznego jej zresztą nie grozi. Będzie ukarana chyba jedynie za przekroczenie przepisów gimnazyalnych. Radość hakatystów była więc, jak się zdaje, przedwczesną. Będą musieli poszukać nowego żeru, o który zresztą nie bardzo trudno.

Oto np. berlińskie *Neueste Nachrichten* biadają bardzo płaczliwie nad demoralizacyą polityczną żołnierzy Polaków. Autor artykułu, charakteryzując ich, zaznacza, że typ głupkowatego, ograniczonego, lecz poczciwego i wiernego żołnierza-Polaka, pełniącego bardzo gorliwie czynności lokajskie u oficerów pruskich, należy już, niestety, do przeszłości. Dziś żołnierz-Polak, szczególnie pochodzący z okręgów przemysłowych, wstępuje do wojska w tem przekonaniu, że nikomu nie ma potrzeby pozwalać na traktowanie siebie z góry. Wstępuje do wojska po przebyciu szeregu kar sądowych za wykroczenia przeciwko osobie, za naruszenie spokoju publicznego i za „grober Unfug.“ Znajomość języka niemieckiego ciągle się zmniejsza, nawet żołnierze polscy, urodzeni na zachodzie Niemiec, nie posiadają w dostatecznym stopniu znajomości języka państwowego— i to nawet tacy, którzy noszą patryotyczne nazwiska Szulców i Millerów. Jednem słowem, żołnierz-Polak stawia na każdym kroku bierny opór władzy wojskowej, co zresztą wcale nie jest dziwne, bo czyż może być dobrym żołnierzem pruskim „spiskujący“ akademik lub śpiewający piosnki antypruskie robotnik? Należy więc te żywioły buntownicze nauczyć patryotyzmu pruskiego, a przynajmniej języka niemieckiego za pomocą przedłużenia służby wojskowej o jeden rok dla wszystkich tych żołnierzy-Polaków, którzy po dwóch latach służby jeszcze się nie nauczą dobrze po niemiecku.

Już to pp. hakatyści są niewyczerpani na polu pomysłów antypolskich. Wszystkie te pomysły, zanim jeszcze będą w życie wprowadzone, stają się doskonałym materyałem agitacyjnym dla prasy polskiej, która szerzy się wśród mas robotniczych i chłopskich w setkach tysięcy egzemplarzy pism codziennych i tygodniowych, budząc świadomość krzywdy codziennej i namiętną chęć odwetu.

Pośrednik.



PAMIĘTNIK.

„My Niemcy.“

Na Kniwsbergu, w północnym Szlezwigu stanął pomnik. Potężny łom granitowej ściany z niszą pośrodku zawiera postać uzbrojonego olbrzyma, od którego stóp spływają dwoma strumieniami schody, ogrodzone baryerą i zaopatrzone w jakieś ogłoszenie. Zapewne, nie każdemu wolno się tu zbliżać. Każdego zresztą śmiałka odstraszy wyrobiony z kamienia lwi łeb. Postać ludzka — to Bismark, nad którym umieszczono krótki napis niemiecki: „my, Niemcy,“ czy owo „my“ znaczy: „my, wszyscy współcześni?“ Gdyby wulkan zasypał popiołem całe państwo niemieckie, po kilku wiekach wyjmowanoby z pod ziemi skamieniałe postacie hakatystów bez napisu: „my, Niemcy,“ znalezionoby zrozpaczone oblicza przyłapanych na gorącym uczynku dyrektorów banku bez napisu: „my, Niemcy.“ Ręka dbała o reputacyę Niemiec, nie umieści nad tymi ludźmi godła narodowego. Co oznaczają te dwa wyrazy nad postacią Bismarka? Wszak Niemcy dali niejednokrotnie dowód wdzięczności dla swych mężów stanu, poetów, uczonych i wojowników, a jednak nigdzie naród cały nie afiszował się ze swemi uczuciami w ten sposób? Zbyt wyraźnie widać tu pracę jednostki, zbyt widoczną jest czyjaś dbałość o sławę imienia niemieckiego, połączona z naiwną zabiegliwością, która w ten sposób zapragnęła ułatwić pochód historyi wielkich Niemiec. Zachodzi tylko pytanie: kto tu chciał na kim zrobić interes historyczny. Może kiedyś wdzięczność narodu wydobędzie się w tym napisie z pod ambicyi indywidualnej, ale zanim to nastąpi, będą musieli współcześni czytać nad Bismarkiem pretensyonalne ogłoszenie: „Wir, deutsche,“ a niejedni pytać będą: czy to i my także? *T. U.*

Resursa rzemieślnicza

Jednoczesna prawie śmierć cesarzowej Fryderykowej i „Bismarcka włoskiego“ tak zajęła naszą prasę codzienną, że „najpoczytniejsze“ nawet jej organy zbyły krotkiemi wzmiankami, pomieszczonemi między wiadomościami o budowie nowej plebanii a sprawozdaniem z 25-wiorstowego wyścigu cyklistów, blizką, jak się zdaje, urzeczywistnienia w Warszawie resursę dla rzemieślników. Nie ubliżając jednak ani plebanii, ani nawet cyklistom-amatorom, ścigającym się między Radzyminem a Wyszkowem, gotowi jesteśmy przypuszczać, że trzy te sprawy są, bądź co bądź, trochę nierównomierne i że pierwsza z nich zasługuje na bardziej szczegółowe traktowanie.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że stworzenie ogniska, u którego spotykać by się mogli, rozgrzewać i podnosić przez wzajemną wymianę myśli, dobrze obmyślane rozrywki i odpoczynek po całodziennej lub całotygodniowej pracy przedstawiciele tak licznego dotąd w Warszawie świata rzemieślniczego — należy do jego potrzeb najpilniejszych. Mając do czynienia z tym lub owym inteligentniejszym rzemieślnikiem, można się nieraz spotkać ze skargami aż nadto usprawiedliwionemi na zupełny brak w naszem mieście takich właśnie miejsc wypoczynku, ułatwiających wzajemne zbliżenie się, przyjemną pogawędkę lub poważniejsze traktowanie wspólnych interesów i potrzeb. Wobec znacznej bardzo liczby osób w sferze rzemieślniczej, którym nie wystarcza już w chwilach wolnych od pracy piwiarnia lub Saska Kępa, należałoby mówić nie o jednej ogólnej resursie rzemieślniczej w rodzaju, dajmy na to, resursy kupieckiej lub obywatelskiej, lecz o całym szeregu takich ognisk, rozrzuconych w różnych dzielnicach miasta. Przypuszczamy, naturalnie, że nowoprojektowana resursa otworzy swe podwoje nietylko przed majstrami cechowymi i pryncypałami, lecz i przed bardziej z pewnością od nich potrzebującymi rozrywki czeladnikami oraz inteligentniejszymi przedstawicielami pracowników fabrycznych.

Pierwszym warunkiem racyonalności i powodzenia takiej instytucyi winno być stanowcze zerwanie z dotychczasowym typem resurs i klubów dla t. zw. inteligencyi, których uczestnicy po całych nocach składają na zielonych stolikach niezbite dowody, w jakim stopniu mają prawo zaliczać się do niej. Bez tych ogłupiających instytucyj rzemieślnicy nasi długo jeszcze obejść się mogą; co jednak otrzymają wzamian — pokaże zapewne przyszłość niedaleka. *b.*

Zła gospodarka.

Rada miejska dobroczynności publicznej z powodu znacznych niedoborów, wynoszących 227,142 rb., postanowiła wynaleźć nowe źródło dochodu na utrzymanie szpitali. Jakoż na osobnych naradach postanowiono niedobór pokryć za pomocą podniesienia opłaty szpitalnej na salach ogólnych chorób wewnętrznych z 35 kop. do 50, na salach zaś chorób chirurgicznych z 35 kop. na 1 rb. Uchwałę ową motywo-

wano tem, że jest to najprostsza i najłatwiejsza droga zwiększenia funduszów i że wobec powszechnej drożyzny szpitale całkiem zasadnie muszą żądać od chorych wyższej zapłaty. Nie można byłoby nic zarzucić tym środkom ostatecznym, gdyby nie to, że Rada miejska dobroczynności publicznej rozporządza wielkiemi dobrami, które przy umiejętnej gospodarce mogłyby przynieść tak znaczny dochód, że wystarczyłoby go nietylko na pokrycie powyższego niedoboru, lecz jeszcze i na niepszenia niezbędne, których jest wielki brak w szpitalnictwie warszawskiem. Jak słabo są wyzyskiwane majątki szpitalne, świadczą wymownie przykłady, podane w *Kuryerze codziennym*. Za odstąpienie kontraktu na dzierżawę folwarku (bez inwentarzy) 24-włókowego zapłacono *piętnaście* tysięcy rubli, gdy tymczasem szpital ma z tego folwarku zaledwie około 2,000 rb. dochodu. Kapitały umieszczono w papierach mało procentujących, zamiast uruchomić, je z korzyścią ekonomiczną kraju i—gospodarki szpitalnej. Wogóle lasy i folwarki szpitalne stanowią majątki kreciowe, dają zaś dochód niesłychanie nizki. Naturalnie, przy takiej gospodarce nieumiejętnej niedobory muszą być stałe i znaczne.

Choroby oczu.

Przed kilku laty, kiedy powstały ruchome oddziały okulistyczne, *Prawda* jedna wyraziła powątpiewanie co do zbawienności tego środka. Jakoż istotnie kilkoletnia działalność tej organizacyi nie złagodziła klęski — chorób oczu, które rozwielmożniły się śród ludności ubogiej. Była to rzecz łatwa do przewidzenia. Cierpienia oczne, tak już dziś powszednie śród mas ludności pracującej, wynikają z warunków społecznych i ekonomicznych. Oddziały okulistyczne leczą przygodnie, i to choroby zadawnione, a więc w znacznej większości wypadków nawet ulgi należytej przynieść nie mogą. To, coby usunęło lub złagodziło klęskę, nie leży w mocy tej organizacyi. Jak dalece złe to jest wytworem urządzeń bytu, świadczą dane, zamieszczone przez dr. W. Talkę, okulistę, w *Kuryerze sosnowieckim*. Autor zwraca uwagę na ogromne rozpowszechnienie się u nas tak zwanej „jaglicy,“ pasorzytniczej choroby ocznej. Szerzeniu się jej śród ubogiej ludności, mieszkającej zwykle w złych warunkach hygienicznych, jak twierdzi dr. Talko, sprzyjają trzy, na pozór błahe rzeczy: mycie się w jednej wodzie, używanie wspólnego ręcznika i wspólnej chustki do nosa. „Śmiało twierdzić można, że z chwilą, kiedy każdy mieszkaniec Królestwa Polskiego posiędzie własny ręcznik, własne łóżko z pościelną bielizną i kawałek mydła, liczba ludzi z jagłami w oczach zmniejszy się odrazu znakomicie.“ Dr. T. utrzymuje, iż oddziały okulistyczne wcale nie przyczyniły się do zmniejszenia tej choroby, gdyż warunki sprzyjające jej rozwojowi są stałe. Dla chorych, dotkniętych jaglicą, niezbędne są przedewszystkiem dobre warunki hygieniczne, „które bardzo często przynoszą większą korzyść, niż wszystkie środki farmaceutyczne razem wzięte. Przedewszystkiem dla chorych tej kategoryi są potrzebne sanatorya. W roku przeszłym na zjeździe lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie odbywały się rozprawy na temat o jaglicy. Przy tej sposobności dr. Kramsztyk postawił wniosek następujący: Potrzeba koniecznie urządzić, chociażby bardzo skromne, zakłady wiejskie dla chorych na jaglicę. Wnioskodawca uznał tę sprawę za tak ważną, jak sprawę gruźlicy; „a że dla krajów Europy zachodniej daleko mniejszą ma ona wagę, więc czekać na ich inicyatywę i przykład nie należy; sami rozpocząć musimy.“ Jaglica, jako choroba zaraźliwa, objawia się epidemicznie w koszarach, więzieniach i wogóle we wszystkich tych miejscach, gdzie dużo bywa nagromadzonych ludzi. Na te zbiorowiska więc przedewszystkiem należałoby zwrócić baczną uwagę. Oprócz jaglicy, śród mas ludności wiejskiej i fabrycznej szerzą się jeszcze inne choroby oczne, wynikające z warunków pracy i bytu. W tych wypadkach już nietylko oddziały okulistyczne, ale nawet oświata i hygiena niewiele zdziałać mogą. W każdym jednak razie należy dążyć wszelkiemi drogami do złagodzenia klęski, a więc zapobiegać przeciążeniu pracą, zakładać stałe szpitale i ambulatorya okulistyczne, zaopatrywać ogniska pracy w okulistów, rozpowszechniać i stosować w praktyce, o ile można, hygienę w najszerszym zakresie. *p.*

Służba wiejska.

Towarzystwo rolnicze łomżyńskie znacznie się wyróżniło śród innych instytucyj ziemiańskich swoją dążnością do uregulowania stosunków służbowych na wsi. Bardzo gorliwie zajęła się tą sprawą delegacya osobna, która między innemi oświadczyła się za koniecznością notatek, zwalniających od służby i uważa, że wynikające z tego powodu ciągłe nieporozumienia pomiędzy zarobkodawcami a pracownikami wobec braku jakichkolwiek przepisów powinny być rozstrzygane przez sądy polubowne. Można byłoby je stworzyć przy biurach wywiadowczo-komisowych, zakładanych obecnie przez towarzystwa rolnicze. Zanim to jednak nastąpi, delegacya służbowa za pośrednictwem rady udaje się z prośbą do ogólnego zebrania o udzielenie jej moralnego mandatu do urządzenia doraźnych tymczasowych sądów polubownych, w celu położenia tamy nadużyciom przy godzeniu służby, „oraz innym, niegodnym stanu ziemiańskiego praktykom.“ Sąd taki, wskutek jakiegoś zażalenia do prezydującego w delegacyi służbowej, wyznaczony będzie z członków towarzystwa, a wyrok, w razie niezgodzenia się na niego którejkolwiek ze stron, będzie obwieszczony na zebraniu ogólnem i zapisany w aktach delegacyi. Celem przyniesienia ulgi służącym, niezdolnym do pracy z powodu starości, choroby lub kalectwa, delegacya służbowa zachęca członków Towarzystwa rolniczego do zakładania wiejskich towarzystw dobroczynności (parafialnych, okręgowych), na wzór istniejącego już we Włocławku. Delegacya zajęła się także sprawą domów dla służby i przyszła do wniosku, że chociaż wiele względów przemawia za budowaniem domów według systemu koszarowego, w przyszłości jednak powinny powstawać domki odddzielne lub dwojaki, „jako najbardziej zadawalające poczucie osobowości mieszkańca wsi.“ Jedną z ważniejszych przeszkód budowania oddzielnych domków stanowi istniejący sposób obliczania podatku podymnego. Pomimo, iż niektóre projekty i wnioski delegacyi noszą charakter półśrodków, wogóle jednak działalność w tej mierze zasługuje na uznanie i życzyć należy, ażeby inne towarzystwa rolnicze również zajęły się gorliwie tak ważną sprawą.



ASTRONOMIA.

Petite encyclopedie scientifique du XX siècle I. Histoire du Ciel p. Clemence Royer Avec 37 fig. et une planche. Paris Libr. C Reinwald 1901 r. 246 str.

Nowo wynalezione metody badań i udoskonalone instrumenty wywołały szybki rozwój astronomii; w ostatnich dziesiątkach ubiegłego stulecia powstało dużo hypotez i teoryj, bardzo różnych od tych, jakiemi starano się objaśniać dawniej zjawiska w tej dziedzinie, zmieniły się poglądy na naturę komet, na kształtowanie się systematów planetarnych i słońc, na warunki fizyczne panujące w przestworzach międzyświatowych. Dyletant, interesujący się astronomią, gubi się w tym labiryncie, nie wie, komu wierzyć, co przyjąć za fakt, a jaką hypotezę odrzucić. Wobec takiego stanu rzeczy niezbędnym okazuje się krótki, przystępnie wyłożony zarys nowszych teoryi astronomicznych, w którym przeciętny zwolennik „królowej nauk“ znalazłby uzupełnienie i poprawienie swych własnych, zazwyczaj przestarzałych już nieco poglądów.

Pierwsze 4 rozdziały autor poświęca historycznej części; w następnych mówi o *Systemie słonecznym*, *Mieszkalności planet* o *Satelitach*, *Kometach*, *Słońcu* i *Gwiazdach*; w ostatnim zaś porusza teorye kosmogoniczne.

Royer, rzecz naturalna, nie rozstrzyga tak modnej dziś kwestyi, czy na Marsie np. są istoty żywe, rozbiera tylko warunki panujące na planetach, należących do systematu słonecznego i zastanawia się, jakie formy organiczne mogłyby ewentualnie na nich przebywać.

Rozdział ten bardzo przyjemnie się czyta, nastręczające sposobność myśli do bujania w nieskończonych przestworzach. Ta właśnie domieszka fantastyczności pociąga w utworach Flammariona, który jednak w swej *Uranii* posuwa się zadaleko, jak na poważnego astronoma. P. Royer jest wolnym od tej przesady. Książka jego ani na chwilę nie schodzi z gruntu czysto naukowego.

W rozdziale o kometach autor streścił to wszystko, czego zdołaliśmy się dowiedzieć o tych ciekawych ciałach niebieskich. A wiemy już wiele. Przekonano się, że istnieje ścisły związek pomiędzy niemi, a rojami meteorycznemi. Kometa składa się z materyi gazowych i stałych okruchów z pyłu wszechświata. Kiedy zbliża się do słońca jego ciepło rozszerza gazy, obraca w parę czy topi okruchy, tak iż kometa świeci przez czas jakiś własnem światłem. Ogon, odwrócony od słońca, tworzy się skutkiem pozostawania w tyle po za główną masą lżejszych cząsteczek, nie mogących tak szybko podążać ku słońcu w atmosferze gazowej, jak okruchy mniejsze, które tworzą ogon. Komety, przechodząc przez swoje peryhelium, czasami rozsypują się, rozpadają, cząsteczki ich rozpraszają się po orbicie, tworząc pierścienie meteoryczne. Taki wypadek zdarzył się np. komecie Bieli, która w 1842 roku w oczach astronomów rozdzieliła się na dwie części.

Spotkanie ziemi z kometami nie może sprowadzić ani dla niej samej ani dla jej mieszkańców żadnego niebezpieczeństwa; podobne katastrofy zdarzać się już musiały wielokrotnie, a kończyły się co najwyżej na deszczu gwiaździstym albo na opadnięciu pewnej nieznacznej zresztą ilości pyłu.

Spektroskop wykrył, że w kometach znajduje się tlenek węgla w przeważnej ilości. Jeżeliby więc duża kometa pomieszała się z atmosferą ziemską, to powietrze zawierałoby pewien procent tego duszącego gazu. I stąd jednak nie wypłynęło by dla nas żadne niebezpieczeństwo, albowiem komety posiadają zwykle nieznaczną masę. Przypuśćmy nawet, że nastąpiło starcie z kometą, ważącą 40 trylJonów tonn metrycznych; ponieważ zaś nasza atmosfera waży 40 kwatryljonów tonn, przeto domieszka trującego gazu wynosiłaby zaledwie jedną dziesiątą procentu, lecz byłaby zupełnie nieszkodliwą. Kometa zawierająca taką ilość tlenku węgla należy do wyjątków; po większej części ciała te mają nieznaczny ciężar; większe szkody mógłby sprawić deszcz meteorów, ale atmosfera ziemska miarku-

je ich ruch szybki i odgrywa tutaj rolę pancerza, przenikliwego tylko dla bardzo wielkich pocisków.

Mówiąc o słońcu, autor wypowiada parę oryginalnych poglądów. „Co do mnie — pisze (str. 173)—mam głębokie i uzyskane drogą długich rozważań przekonanie, że słońce zamiast zgasnąć, albo chociaż ostygnąć, będzie się coraz bardziej ogrzewało, jakkolwiek powolnie.“ Z tego widzimy, że hypotezy kasmogoniczne p. R. różnią się znacznie od panujących w nauce. Nasza gwiazda dzienna, jak to już stwierdzono, jest otoczona wysoką atmosferą rozpalonego wodoru, pomieszanego z helium; pod nią istnieje druga warstwa gazowa, gęsta, nasycona parą metaliczną, i wysyłająca najwięcej linii absorbcyjnych; posiada ona żółtawy kolor i stawia słońce w szeregu gwiazd żółtych. Sam glob to olbrzymia kropla roztopionych metalów, bez śladu jakiejkolwiek skorupy stałej. Przyjmując gęstość Ziemi równą 5,5, wypada, że ciężar gatunkowy naszej gwiazdy centralnej wynosi zaledwie 1,39; jego prawdziwej średnicy nie znamy, gdyż trudno określić wysokość chromosfery.

Podług nowszych badań plamy słoneczne są to kolosalne wytryski zagęszczonych par metalicznych, dosięgające wyższych warstw atmosfery—coś podobnego do wybuchów wulkanicznych płynnego jądra które się znajduje w stanie „nadpłynnym“ (surliquéfaction) z powodu olbrzymiego ciśnienia, zdolnego, jak wiadomo, opóźniać do nieskończoności punkt wrzenia Dość więc nieznacznych zmian w ciśnieniu atmosferycznem, aby pary mogły się wytwarzać w większych ilościach i wybuchały, torując sobie drogę gwałtownie przez chromosferę. O temperaturze słońca, ani o czasie jego obrotu dziennego dotąd nie pewnego nie mamy. Ruchy plam pozwalają jednak przypuszczać, że nasza gwiazda centralna dokonywa go w ciągu 25 dni. Po nad atmosferą wodorodu istnieje jeszcze jedna warstwa, sięgająca niemal orbity ziemskiej; jej ruch jest, jak się zdaje, niezależnym od ruchu słonecznego dookoła osi, ma ona formę olbrzymiej elipsoidy, składa się zaś nie nie z gazów rozżarzonych, lecz z drobnych pyłków kosmicznych; pył ten wywołuje tajemnicze doniedawna światło zodjakalne jak również ciągły spadek mniejszych i większych meteorytów na naszą planetę.

Wiadomo, że plamy słoneczne pojawiają się peryodycznie; otóż nauka współczesna wykryła powód tej peryodyczności. Jestto skutek działania Jowisza na płynną masę słoneczną: wielki ten planeta co jedenaście lat wywołuje wespół z Wenerą przypływy, podobne do tych, jakie zachodzą na oceanach ziemskich za sprawą księżyca. Objawia się to przez zmniejszenie ciśnień lokalnych, oraz siły ciążenia; te zmiany zaś wywołują wybuchy par metalicznych z rozpalonego jądra i co za tem idzie, podwyższenie działalności termicznej słońca. Ziemia otrzymuje wtedy większą ilość ciepła, które z kolei potęguje na niej termoelektryczne prądy i sprowadza burze magnetyczne.

Widzimy, że autor popularyzuje w swojem dziełku najnowsze hypotezy astronomiczne i to w sposób dla każdego zrozumiały, nie uciekając się do skomplikowanych dowodzeń i formuł matematycznych. Dobrzeby było, gdyby ktoś przyswoił naszej ubogiej literaturze tę książeczkę, zwłaszcza, że nazwisko jej autora jest już u nas znane. *w.*



ETNOGRAFIA.

Wisła, miesięcznik poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu, z rysunkami. Tom XV, zeszyt 2. Marzec—Kwiecień, 1901.

Ciekawą może być nietylko dla lingwisty, ale i szerszego koła publiczności rozprawka p. Jana Fr. Magiery („Uwagi nad przyswojeniami w gwarach naszych“). Autor mówi o zjawiskach dźwiękowych, wytwarzanych bądź pod wpływem doboru do form lub wyrazów znanych (*Analogienbildungen*), bądź upodobnienia jakiegoś dźwięku cudzoziemskiego do fonetyki polskiej. P. M. zauważył, że zjawiska te nie dadzą się ująć w pewne prawidła, bo niema miasta, wsi, a nawet pojedyńczego człowieka, coby się nie wyróżniał jakąś odrębnością w wymawianiu. Ciekawem lubo smutnem jest przeradzanie się mowy ludowej pod wpływym niemczyzny. Jest to rak, toczący rdzeń słowiańszczyzny.

Jakby w związku z tym rakiem przypomina nam p. G Smólski o Kaszubach nadłabiańskich. Wymierające to plemię, niegdyś liczne, jako piasek morski, zajmowało ongi cały obszar wybrzeża bałtyckiego aż po Ren. Wydusili Kaszubów Frankowie i Sasi, głoszący ewangelię z mieczem w ręku, oba wzajemnie wrogie sobie ludy teutońskie. Autor traktuje tu o gwarze tysiąca Kaszubów, zamieszkujących „skrawek ziemi między jeziorami Gardeńskiem i Lebskiem,“ który przedłuża się wązkim kabłąkiem wkoło ostatniego, a na północy zajmuje przesmyk piaszczysty między jeziorem a morzem, nadto kilka osad w parafii żarnowskiej. Cenne są tam wiadomości o doli tego ludu. Już Hilfersing, znany uczony rosyjski, zauważył obojętność młodzieży kaszubskiej dla mowy i zwyczajów przodków.

P. Paweł Sterling („Kult silnych“) utrzymuje, że rzucanie uroku jest właściwie spojrzeniem pożądliwości, czyli chuci w nabyciu osoby lub własności urzeczonego. Stąd składające ofiary z pokarmów, krwi, ciała, włosów itp., sądzono, że przez zaspokojenie chuci silniejszych (bogów), odczyniano urok.

Kult święconej wody jest w związku z tradycyą, jakoby woda była środkiem chroniącym od czarów, bo człowiek czy zwierzę, uciekając przed pogonią wroga, za wodą czuł się dopiero bezpiecznym. Murzyni otaczają mieszkania swoje rowami napełnionymi wodą, sądząc, że w ten sposób ustrzegą się czarów.

P. Witowt przysłał 111 przesądów ludowych ze wsi Turowa (pow. Radzymińskiego).

Zwracamy uwagę na pracę p. Ign. Radlińskiego: „Apokryfy judaistyczno-chrześciańskie“ (notatka wstępna do literatury apokryficznej polskiej).

P. Nuszyński nadesłał utwór samorodny poety chłopka p. t. „Pieśń o Ameryce.“

P. Janowski podaje nam próbę tworzenia się legendy nowożytnej o śpichrzach w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą.

P. Wład. Semkowicz obdarzył nas „Krakowiakami“ ze wsi Łęki w pow. Brzeskim.

Obszernym i różnolitym jest dział poszukiwań.

Dział sprawozdań i krytyki pióra p. Łopacińskiego, Luc. M., Erazma Majewskiego, S. N. i innych. Przegląd czasopism pióra Z. A. K. Witanowskiego i innych.

Zeszyt też kończą: Wspomnienia o ś. p. Bronisł. Grabowskim, Z akademij, towarzystw i muzeów. Drobiazgi ludoznawcze i różne wiadomości.

Piękny papier, ryciny i wyraźne czcionki dobrze świadczą o staranności wydawcy.

J. F. Gaisler.

Nordenskjöld.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

W dzisiejszych warunkach społecznych olbrzymy woli, co potrafią chcieć potężnie i pokonywać z żelazną energią i wytrwałością przeszkody, oddzielające ich od celu, stają się coraz rzadszemi, nic więc dziwnego, że budzą podziw i uwielbienie. Do rzędu takich potentatów woli należał zmarły w d. 13 b. m. Adolf Eryk Nordenskjöld, słynny podróżnik podbiegunowy, któremu życie upłynęło na walce z dziką, surową przyrodą krain północnych.

Nordenskjöld urodził się w Helsingforsie d. 18 listopada 1832 r., ojciec jego, sam uczony naturalista, od najmłodszych lat wszczepiał w syna zamiłowanie do badań przyrodniczych; Adolf, jako chłopiec, nie chciał się jednak uczyć, podobno nawet wydalono go z drugiej klasy gimnazyum za niedostateczne postępy; trafiało się to zresztą wielu innym późniejszym znakomitościom na polu nauki i literatury. Nordenskjöld dostał się jednak na uniwersytet w mieście rodzinnem, gdzie studyował przez trzy lata, do 1851 r.

Jego zdolności ujawniły się niebawem w kilku pracach naukowych; byłby zapewne ozdobą swej ojczyzny i dla niej pracował, gdyby nie starcie z władzami. Wyjechał wskutek tego do Berlina, ale po roku powrócił do Helsingforsu. W r. 1857 nadano mu stopień naukowy doktora; podczas bankietu wydanego na jego cześć z tego powodu, Nordenskjöld wzniósł toast, za co gubernatorska władza kraju pozbawiła go na przyszłość jakiegokolwiek stanowiska przy uniwersytecie Helsingforskim. Wyjechał, bez możności powrotu do kraju; wygnanie to trwało do 1862 r. W Szwecyi młody uczony został profesorem Akademii w Sztokholmie i intendentem zbiorów mineralogicznych. W 1859 r. wziął udział w wyprawie do Szpicberga, 1864 zrobił drugą wycieczkę w tamte strony, towarzysząc Otto Forellowi. Nordenskjöld położył wielkie zasługi około zbadania tej wyspy pod względem przyrodniczym, zrobił także szczegółową mapę Siedmiu wysp i cieśniny Hinterlopen.

Kiedy szykowano w 1868 roku nową wyprawę, a dowódca jej zachorował, postawiono na jego miejsce Nordenskjölda, który wywiązał się świetnie z włożonego nań zadania. Odkrył na wyspie Beeren bogate kopalnie węgla kamiennego i pierwszy dowiódł, że w oceanie Lodowatym, w głębiach dochodzących 4800 m. istnieją żywe twory. Udało mu się wtedy dosięgnąć 81° 42' szer. północ.

Postanowiwszy przezimować na północy, Nordenskjöld przedsięwziął podróż do Grenlandyi w 1870 r. W niebezpiecznem tem przedsięwzięciu opuścili go wszyscy towarzysze z wyjątkiem doktora Berggrena, obaj przewędrowali po lodach kilkadziesiąt kilometrów; owocem tej wycieczki było odkrycie dość bujnego życia organicznego na wyżynach wielkiej wyspy.

Pełen zapału podróżnik nie odpoczywa wcale po trudach, bo w 1872 roku widzimy go znowu na czele ekspedycyi, złożonej z parowca „Polhem“ i brygu „Gladan.“ Projektowano sobie przezimowanie na Siedmiu Wyspach i zbadanie ziemi Gilesa; nieprzewidziane trudności nie pozwoliły wykonać tego programu i zdołano dotrzeć zaledwie do Mose-bay.

Niezrażony bynajmniej doznanem niepowodzeniem, Nordenskjöld wyrusza w nową podróż podbiegunową w 1875 roku na pokładzie „Provena“ zwiedza: Nową Ziemię, Półwysep Samojedów i Jenisiejem dociera do samego miasta Jenisiejska, obalając przesąd co do niedostępności morza Karyjskiego.

Te rezultaty były niezmiernie zachęcające i posiadały ważne znaczenie geograficzno-handlowe. W głowie Nordenskjölda rodzi się wspaniały zamiar opłynięcia północnych wybrzeży Syberyi, bardzo mało wówczas znanych, dzięki badaniom lądowym. Projekt doznał poparcia ze strony króla szwedzkiego, Riksdagu i pewnego bogatego Sybiraka, nazwiskiem Sibirjakowa. Wyekwipowano Nordenskjöldowi niewielki parowiec „Vega“ pod kapitanem Palanderem i „Lenę.“

Wyprawa opuściła Götheborg d. 4 lipca 1878 roku, składała się zaś z ochotników królewskiej marynarki, oraz sztabu uczonych. Okręty przebyły szczęśliwie morze Karyjskie, i d. 6 sierpnia dotarły do Jeniseju. Podróż, ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, nie nastręczała wielkich trudności; lody nie zatrzymywały nigdzie przez dłuższy czas statków, tak, iż d. 19 tegoż miesiąca opłynięto przylądek Czeluskin, najdalej wysunięty na północ kraniec lądu azyatyckiego. Był to tryumf wielki: odnaleziono przejście północne z Atlantyku na ocean Spokojny i odkryto nową drogę handlową. Słusznie więc Nordenskjölda nazwano Vasco do Gamą północy. Dnia 26 „Vega“ minęła ujście Leny; tutaj okręty rozdzieliły się: „Lena“ wpłynęła na rzekę, „Vega“ zaś popłynęła dalej w północno-wschodnim kierunku.

Odtąd rozpoczęły się trudności; ławice lodowe zamykały przejście, musiano je okrążać, wyszukiwać drogę mozolnie. Dnia 27 września „Vega“ otoczona zewsząd krami, musiała się zatrzymać w zatoce Koluczina na zimowe leże. Tutaj, zakuci w pancerz lodowy, podróżnicy spędzili długą noc zimową; owych 264 dni nie stracono jednak nadaremnie: utrzymywano stosunki z Czukczami, co nastręczało doskonałą sposobność do studyów etnograficznych. Wreszcie d. 18 lipca 1879 roku lody uwolniły „Vegę“ i popłynięto ku cieśninie Beringa, już bez znaczniejszych przeszkód. Niebawem wydostano się na wody oceanu Spokojnego. Zwiedzono wyspę Beringa i dnia 2 września zawinięto szczęśliwie do Jokohamy. Nordenskjöld w tej olbrzymiej podróży nie stracił ani jednego z pośród towarzyszy, a zdobył bogaty plon. Wprawdzie odkryta przez niego droga do dziś dnia rzadko jest uczęszczana przez okręty handlowe, gdyż warunki panujące w tamtych stronach nie pozwalają odbyć w jednym roku podróży z Europy do ujścia Leny i z powrotem; niemniej przeto Nordenskjöld dokonał czynu, który zjednał mu wielki a zasłużony rozgłos dzielnego podróżnika i uczonego badacza.

Nordenskjöld został baronem i deputowanym do izby szwedzkiej; paryskie Tow. geograficzne przyznało mu wielki medal złoty, słowem posypały się nań zaszczyty ze wszystkich stron. Już to trzeba przyznać, że społeczeństwa cywilizowane Europy umieją wynagradzać wyjątkowe zasługi na polu naukowem.

Nordenskjöld nie spoczął na laurach. Dnia 10 lipca 1883 roku wyruszył na „Zofii“ z Rejkjawik (Islandja), udając się na zbadanie wnętrza Grenlandyi. W towarzystwie Lapończyków dotarł do pustyni lodowej, zajmującej środek tej wielkiej wyspy i walczył przez miesiąc z przeszkodami różnego rodzaju. Wyprawa ta przyniosła także niemałe korzyści naukowe. Później raz jeszcze przedarł się on przez wał lodowy, tamujący dostęp do wschodnich wybrzeży Grenlandyi i dokonał pomyślnie tego zadania. Była to natura czynna i dysząca energią niepożytą, umysł szeroki i charakter czysty. *w.*



LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

II.

Kazimierz Lewandowski: *Lais*. Kraków-Warszawa, 1900. — *Kraków*. Poezye, nowele, fragmenty dramatów. Rysunki i układ W. Wyspiańskiego. MCM.

Przedewszystkiem należy wiodzieć, iż p. K. Lewandowski „rąbie nowe ścieżki w dziewiczych lasach.“ Nikt, zdaje się, u nas, z taką śmiałością i w takiej obfitości nie używał białego wiersza, urywanego i zdyszanego, a spokrewnionego ciągłymi zwrotami, nawrotami i paralelizmami z prozą rytmiczną. „Zamknęli bramy cmentarza, Zamknęli na cmentarzu burzę. Burza szaleje po cmentarzu, Z cmentarza rozchodzi się na świat. Rozpędza tłumy z ulic i pól... Chodźmy do czarnej tej grozy, Dotknijmy ręką potarganej szaty, Ona powleka ten ból strzępami nędzy... Zbliżmy się cicho, Nie budźmy tych łkań. Tu płyńcie łzy!“ A oto w stylu cokolwiek weselszym: „Przez kolory szafirowe, Przez kolory uśmiechnione, Przez kolory jej oczu dziewicze, Przeleciała jaskółeczka pokusy, Figlarna, zalotna i płocha... Człowiek z głową pochyloną, Okręcony w płaszcza kiry, W czarne płaszcza kiry, Na dziewicę ustrojoną w purpurowe upowicie.“ Wybitnie „modernistyczny“ koloryt książce p. Lew. nadają śmiałe przenośnie i obrazy, powstające „po za logicznymi związkami.“ Nie chcę przeto powiedzieć, iż są niedorzeczne; oparte są tylko czasem na chwilowem podobieństwie pomiędzy dwoma szeregami zjawisk, i dlatego podobieństwo takie nie zawsze może być pochwycone przez czytelnika z łatwością, jak kiedy np. poeta łączy wrażenie śmigania jaskółki z migotaniem jakiejś iskry zalotnej w oku dziewczęcia; niekiedy zaś punkty styczności nie mają nic wspólnego z fizyczną analogią przedmiotów. Poeta zwraca się z prośbą do „ustek różanych:“ bądźcie oazą, palm ożywczych gajem i życiodajnych chłodnych fal krynicą na rozpalonej puszczy mego lica.“ Ani usta nie są oazą, ani twarz puszczą, a przecie nie trudno odgadnąć, w jaki sposób na spragnionego ma spłynąć orzeźwienie. Stąd jeszcze daleko do mistycznego przeistoczenia się zapachów w dźwięki i barwy lub odwrotnie, do odsłonięcia głębin duszy metafizycznej, zasłoniętych dla uporządkowania działalności mózgu; ale przecież zjawiska rzeczywiste pozostają zawsze poniżej idealnego wzoru... Skojarzenia podobne do używanych przez p. Lew., zawierają w sobie często siłę pociągającą, sprawiają bowiem mimo wrażenie nowości. Dzieje się to niekiedy i u autora. Swoją drogą, czuć w nich czasem pewną wymuszoność („anioł szyderstwa dał mu policzek śmiechu, śmiechu zabójczy policzek“), to znowu przesadę, nieharmonijne ustosunkowanie wyrazu zewnętrznego do ukrytej pobudki. Poeta przez parę dni nie spotyka swej tancerki z balu. „Już mi się w serce wdzierała pomału Wielka, samotna, pustynia zawodu... Czekałem rychło jak pochodnia zgasnę w kirach tęsknoty, w beznadziejnej ciszy — wtem, bóg przypadku mgły rozorwał ciasne i wywiódł ciebie z chmur zazdrosnych niszy.“ Nie jest to odkrycie głębin duszy; nagiej, duszy (mówiąc stylem czy rytmem p. Lew.), nie jest to wszystko objawem sił żywiołowych, samotnym wytryskiem splątanych uczuć, obrazów, nastrojów... Wdzieranie się w serce pustyni zawodu, chmur nisza, z której się wybranka jednodniowa ukazuje, itp rzeczy, to owoc bardzo mozolnych poszukiwań. Może obrazy nie były dobierane i dobrane na chłodzie, może poszukiwania owe odbywały się wśród gorączki podniecenia, „w bólach porodu“ — lecz skończyły się one nie wtedy, gdy z twórczego chaosu na jaśnię się wydobyły twory o postaci harmonijnej, gdy uczucie wywołało dla siebie najodpowiedniejszą melodyę; nowożytny „mag“ czuje się zadowolonym, gdy w tyglu jego wysmaży się wreszcie coś niezwykłego i niespodziewanego. I oto krok dalej, a stajemy u granicy baraku, u kresu, gdzie jak w piekle dantejskiem, musimy się przekręcić i, posuwając się wciąż w tym samym kierunku, już nie ustępować lecz iść do góry, czytać odwrotnie. Modernizm dziwnie zapachniał myszką. Obrazy przestają na nas oddziaływać całością swych szczegółów zmysłowych i otaczającą je mgłą „nastrojową,“ przeciwnie, drogą mozolnego wnioskowania musimy posuwać się od rysu do rysu, by odgadnąć wreszcie o co tam chodzi: „Jam jest głębina w *oczu zakuta kleszcze*, ty światło morza z niebiosów sklepiska“ — to ma wyobrażać skojarzenie szafirowych oczu. No, żeby też uczucia miały być „kleszczami“ — to prawdziwa niespodzianka. Od dziwactwa niedaleko już do braku wszelkiego sensu. „Ona podniosła wzrok i patrzyła we mnie mistycznie“ (?). W księżycowych oczach swej bogini dostrzega „coraz więcej mistycznych błysków Dyany łkającej.“ Skądże znowu „łkająca?“ „Władco gwiazd, Jowiszu, nie ujrzysz ty mnie u swoich ołtarzy, bo ja, *przy Turku klęczeć czy Derwiszu* chcę (a to ci poco?), by Dyanę czcić, co tam się żarzy..“ Czy to derwisz do rymu, a Turek, ot tak sobie, do pary? Czy może odwrotnie, Jowisz właśnie pary dopełnia? Ach, ten rym modernistyczny!

Chętnie się zgodzimy, iż kunsztowność zadźwięku końcowego nie może polegać jedynie na unikaniu rymów gramatycznych (nie zawsze ich unikać należy), ani też na ścisłem przestrzeganiu formalnej jakiej zasady, np. by towarzyszyły sobie tylko odmienne części mowy itp. W tym ostatnim wypadku wiersze nazbyt często ukazywały się ze śladami tortur, którym je poddano, a za przykład możnaby podać wiersze Felicyana, uważane często za wzorowe. Wytworności rymu niepodobna tedy oddzielić od ogólnego bogactwa dykcyi. Otóż ci poeci, co wszystko to mają na względzie, a „nie lubią rzeczy łatwych,“ w pogoni za dźwięcznem słówkiem radzą sobie dość przemyślnie; z obcych kopalni wyłamują *granit*, dodając do tego skwapliwie *aksamit* i *larga oceanid* czy coś podobnego. Zwyczaj ten wprowadził, do nas pono Miriam, utrwalił zaś, pogłębił i roszerzył A. Lange... Ale zapomnieliśmy o p. Kaz. Lewandowskim. „Płyń duszo moja i grotami ciskaj, bryzgaj ku niebu kaskadami *srebra*, tul się i błagaj, zrywaj się i błyskaj, jak fal szmaragdy *po pancerzach Ebra*!...“ Jakież to pancerze? I pocośmy do Hiszpanii zajechali? Co tam, srebra—Ebra — zebra — brzmi to niezgorzej! I czyż nie miał ktoś (bodaj K. Bartoszewicz) słuszności, iż współczesny poeta, by dorobić sobie rym do *Tatry* najpewniej sięgnie do *Latry* nieznanej żadnej encyklopedyi...

Zdaje się, iż w wyniku długiego poprzedniego wywodu otrzymaliśmy to przeświadczenie, że poezya p. Lewandowskiego, o ile sądzić o niej mamy ze środków, którymi się posługuje, nie jest naturalną i szczerą. Dużo jest w niej rzeczy wymuszonych. Wniosek ten nie zmieni się, gdy wstąpimy w jej wewnętrzny przybytek. Nie będziemy tu już mówili o modernistycznym kolorycie. Gdyby zachodziła konieczna potrzeba użycia przezwiska, nasunęłoby się nam właściwsze — dekadentyzm. Ci, co nowe drogi pragnęliby torować, czują przynajmniej pożądanie czystości i wielkości, czują potrzebę szerszego lotu. U p. Lew. żadnej nie dopatrzymy tęsknoty, ża-

dnego wyrywania się w nieskończoność. Z książki jego bije odurzająca woń egzotycznych kwiatów, obejmuje nas zaduch nieprzewietrzanych, zamkniętych przestrzeni. Wchodzimy w atmosferę, która sprowadza gorączkowe majaczenia, nierównym biegiem każe uderzać tętnom na skroni, chorobliwym rumieńcem na twarzy wykwita. Jest to atmosfera balowej sali, w której światła już płoną blaskiem przyćmionym, w której powietrze przesiąknięte jest zarazkami nerwowych podrażnień, niezdrowych rojeń, sztucznych uśmiechów, dwuznacznych półsłówek... Następstwem takiego nienormalnego podniecenia i przyspieszonego biegu krwi — zawsze to samo: wyczerpanie, poczucie braku siły, niesmak...

Trudno jest zwykle zabierać głos o wydawnictwach zbiorowych, gdyż zawierają najczęściej *disjecta membra*. Jaki można wydać sąd o autorze na podstawie paru scen z dramatu, kilku kartek z powieści, lub pojedynczego wiersza? Mówić zaś o wspólnych znamionach, o jednolitym kierunku ich twórczości, czy podobna, jeśli z góry już nas uprzedzono, że „krakowska plejada artystyczna to nie szkoła literacka, nie wielka rodzina, złączona węzłem pokrewieństwa dusz, to raczej szereg indywidualności i — *kontrastów*?“ Gdyby się atoli pragnęło koniecznie sprowadzić kontrasty do wspólnego mianownika, bezpieczniej byłoby się oprzeć na czemś pewniejszem, niż na szeregu urywków, choćby najumiejętniej i najstaranniej dobranych. W „Krakowie“ czytelnicy znajdą wiele pięknych i ciekawych rzeczy, a całość przedstawi się ponętnie i oryginalnie. Spotkają tam oni świetnie, jak zwykle napisany, a bezdennie smutny i duszę szarpiący urywek Przybyszewskiego *Requiem aeternam*; spotkają jego naśladowców... niech będą zresztą dusze pokrewne, jak Kleczyński, Theresita; przeczytamy dalej dłuższy wyjątek z „Bolesława Śmiałego...“ Nieraz doznamy tu wrażenia, iż w Wyspiańskim odrodził się duch Juliusza. Jest tu śliczna fantazya Żuławskiego „Stary Bóg,“ jest ustęp z Kisielowskiego, nazbyt okropnościami nadzianej „Sonaty,“ jest piękny wiersz Orkana: „Na tej smutnej ziemi“ itd. Jedno chyba może nas zadziwić, to stanowczy brak u poetów krakowskich logicznych obrazów i skojarzeń, nawet u Przybyszewskiego, chociaż dlań „zewnątrz stało się wnętrzem, jawa snem, rozkosz obrzydłym jadem.“ Wprawdzie pośród strasznych halucynacyj, poddających mózg torturom, przebłyskuje nagle bez widocznego powodu wspomnienie: „Patrzę w niebo, a niebo ciche, patrzę na ziemię, a ziemia śpi“ — ale ze słów Ujejskiego spływa na zmęczoną duszę taka cichość i taki spokój, że nie zapytamy: skąd się to wzięło? Od mistrza konsekwentniejszym jest p. Włodzimierz Perzyński. „Dźwięki pianina, milknące w oddali w srebrnych mgłach nocy. Ostatnie westchnienie, cisza—i wielkie, nieruchome cienie na jasnej światełka miesięcznego fali. „A W oczach miała święte rozmarzenie.“ Północ. Jak dziecko kiedy się rozżali, usnęło miasto i ogród. Błysk stali... krew... kilka kropel gorzkiej krwi... Wspomnienie. Filozoficzny punkt widzenia... może... Wiosenne słońce... królowa... natchnienie... „Co więcej,“ zapytuje nagle siebie autor, zgubiwszy drogę w tym labiryncie bezładnych wyobrażeń... A wszystko to razem nazywa się „wspomnieniem...“ Nie wątpię, iż można je *wytłomaczyć*, jak to uczynił Lemaître z podobniusieńkim wierszem Verlaina, jak to uczynił Przybyszewski z wierszem Vicent de Korabia... Tak, wytłomaczyć, łamigłówkę rozwiązać... Ale czy można coś *uczuć*? Prawda, wszak to sztuka Jedynego dla Jedynego (autora).

A. Drogoszewski.

Witkiewicz o Kossaku.*)

Gdy przed laty kilkunastu do patetycznego, a ogólnego chóru estetyków warszawsko - krakowskich lub krakowsko - warszawskich dołączył swój głos mało znany malarz, a jeszcze mniej znany literat, Stanisław Witkiewicz, powstał rozgwar i huczek niesłychany. Nowy przybysz nie mógł się stanowczo „dopasować“ do grupy „zespiewanej“ doskonale, mającej „stanowisko wyrobione“ i „powagę“ niezachwianą. Odrazu na pierwszym występie odłączył się od niej, i zanucił własną, dla towarzyszy wielce niemiłą piosenkę. „Filozofia, a sztuka, historya a sztuka, moralność a sztuka — to rzeczy zupełnie od siebie odmienne,“ brzmiały słowa piosenki. „Piszecie o malarstwie, a wyobrażenia nie macie o tem, czem jest ono, jakie są jego środki, jaki jest jego zakres i cel.“ I, niestety, w wyrazach tych tkwiło wiele prawdy. Chwilami wyławiał z chóru patetycznego słowa i zdania, napozór wielce filozoficznie i szumnie brzmiące, w rzeczywistości zaś wewnątrz puste, lub też wprost pozbawione wszelkiego sensu. Chór zatrząsł się z oburzenia i zagrzmiał hymnem wojennym. Nowa niespodzianka! Bezbożny rewolucyonista, dla którego „Kaśka kopiąca rzepę“ ze względu na swą wartość czysto artystyczną mogła mieć większe znaczenie, niż „Zamoyski pod Byczyną,“ okazał się na domiar złego przeciwnikiem niebezpiecznym, bo szermierzem niezmiernie zręcznym i odważnym. Każda polemika Witkiewicza — czy to z prof. Struvem, czy z ks. Morawskim, czy z hr. Tarnowskim—przybierała charakter szlachcica polskiego z XVIII w. z „angielczykiem,“ lub innym oficerem „cudzoziemskiego autoramentu.“ „Uczoności“ cudzoziemskiej Witkiewicz przeciwstawiał szlachecką dziarskość i stal swej szab'icy. Na polu polemicznem przypominał on rycerzy Czarneckiego lub Chodkiewicza, którzy nie liczyli nieprzyjaciół, lecz pytali, gdzie są oni. Słowa jego nie miały gryzącej ironii, trującego sarkazmu Włocha lub Francuza, lecz jakiś silny rozmach i błysk wężowy szerpentyny szlacheckiej. Była w nich prócz tego zawsze ogromna fantazya i buta, dzięki której Witkiewicz nie wahał się zupełnie śmiało i otwarcie podnosić zasług własnych**) i lekceważyć przeciwnika. Pysznił się tem, że, walcząc z profesorami i doktorami uniwersytetów, przeciwstawia ich tarczom upiększonym licznymi dyplomami swoją— świecącą jedynie „świadectwem... nieukończenia trzech klas gimnazyalnych w Szawlach.“ W całej krytyczno - polemicznej działalności Witkiewicza odzwierciedlił się z równą siłą bujny temparament rasy, jak w rysunkach i akwarelach Juliusza Kossaka. Tem pokrewieństwem duchowem może należy sobie tłomaczyć głęboką cześć Witkiewicza dla twórcy ilustracyi do „Roku myśliwca“ i tę miłość, którą ma dla jego sztuki.

„Jednym z tych, w którego dziełach najwszechstronniej, najbezwzględniej, najbezpośredniej odbija się charakter i duch plemienny, rasowe właściwości i kultura długowieczna i świat zewnętrzny, w którym naród żył i działał—jest Juliusz Kossak.“ Oto teza, której stara się dowieść W. na kartach swej nowej książki. *Stara się* dowieść, lecz nie dowodzi, nie przekonywa, bo dowieść, przekonać niepodobna. Nieprawdą jest, jakoby „na całym tym obszarze ziemi, na którym rozegrał się dramat dziejowy narodu polskiego, na którym pozostało życie polskie lub jego wspomnienie, wszędzie się tam spotyka z twórczością Kossaka,“ i nieprawdą jest również, jakoby on był malarzem wsi polskiej, tej wsi, gdzie na miedzy ciche grusze siedzą i z której wyszło to wszystko, co było cnotą i zbrodnią, co było wielkiem i małem, co było chwałą i hańbą, co żyło w sposób szczególny, różny od reszty świata w treści i formie, to co stanowi rdzeń i istotę polskiego życia.“ Tak nie jest. Witkiewicz zbyt *jednostronnie* pojmuje życie polskie, jeśli nazywa twórczość Kossaka *wszechstronnym* jego objawem. Kossak był malarzem tylko zewnętrznej, dekoracyjnej strony tego życia, i to tej, która oślepiała przepychem i bogactwem barw i form, szerokim rozmachem lotów, dziarskością i fantazyą kawalerską ruchu. Szeleszcząca chmura proporców, świecąca pozłotą zbroi, szumiąca skrzydłami husarya, idąca do ataku pod Kirchholmem, lotna, bezładna, wyjąca nawała tatarska, pełni niepohamowanej fantazyi towarzysze Czarneckiego, przebywający wpław odnogi morskie, barwna i śpiewna, a krwawa dzicz kozacka, kwieciste dziarskie, a ogniste banderye Krakusów — oto świat ulubiony Kossaka; gdy zaś dodamy do tego myśliwca w kniei i eleganckich panów goniących lisa na angielskich „folblutach“ na tle zlekka naznaczonych łanów ukraińskich lub borów litewskich, otrzymamy cały świat jego; a czy to będzie *cały* świat, w którym się odzwierciedliła dusza, odbiło życie narodu? Czy fantazya i dziarskość, którą się odznaczają stworzone przez Kossaka postacie, zaczynając od średniowiecznego rycerza, a kończąc na współczesnym chłopie krakowskim, czyż to jedyne cechy narodowe polskie? Bynajmniej. Chyba zresztą i Witkiewicz nie myśli im przypisywać tego, tak wyjątkowego znaczenia; lecz postawiwszy z góry tezę o wszechstronności, do której zresztą Kossak może najmniej rościł sobie pretensyi, stara się ją *à tout prix* przeprowadzić i utrzymać. Dla Kossaka nie istniał nigdy np. rzeczywisty, codzienny chłop z „Boćków“ Chełmońskiego, na którego twarzy jak na kartach księgi dziejów, leży wypisana nędza, cało wieki trwająca, nic wspólnego niemająca z fantazyą. Dla Kossaka nie istniał nigdy ten bezbrzeżny i bezdenny „smutek prasłowiański,“ zawarty w duszy narodu, w nieskończonej równinie pejzażu z nizko nad nią wiszącemi szaremi chmurami, ten smutek, który jest twórcą poezyi Słowackiego, muzyki Chopina i krajobrazu Chełmońskiego. Gdybyśmy energię, zawartą w duszy narodu, chcieli rozważać z punktu widzenia fizycznego, musielibyśmy ją podzielić na kinetyczną, czyli energię ruchu, i potencyalną, czyli tę uśpioną, którą dopiero jakiś bodziec zewnętrzny wydobywa z ukrycia i zamienia na kinetyczną. O Kossaku można powiedzieć, że był malarzem tylko tej pierwszej; drugiej — zlewał się wcale nie widzieć.

Zwalczając teoryę wpływu środowiska na urabianie się organizacyi artystycznej, Witkiewicz stara się wytłomaczyć „bezwzględną łączność“ między Kossakiem a jego krajem i ludźmi z jednej strony, „właściwościami psychicznemi, które go odrazu postawiły w harmonii ze światem przez niego odtwarzanym“; z drugiej zaś— „dziwnem szczęściem,“ dzięki któremu „trafił na świat, na ludzi, stosunki, obyczajo, na formy życia i zjawiska przyrody, które w sposób *cudowny* łączyły się z jego duszą i naturą jego talentu.“ Tłomaczenie co najmniej zawodne. Bo czyż nie prościej przypuścić, że te „własności psychiczne,“ które Kossak, jak każdy człowiek, wraz z sobą na świat przyniósł, właśnie urobiły się i wykształciły *pod wpływem* tego otoczenia i tej przyrody, śród której spędził życie? Czyż tego nie dowodzi zresztą sam rozwój talentu Kossaka? Wystarczy, gdy porównamy pierwsze jego szkice i akwarele, będące jedynie niemal

*) *Juliusz Kossak* przez Stanisława Witkiewicza. Warszawa 1900.

**) Ob. wstęp do „Sztuki i krytyki u nas.“

naśladownictwem manierycznych, a modnych podówczas sztychów angielskich, z pracami późniejszemi, które wyglądają, jak gdyby nie wyszły z pod tej samej ręki, taka z nich bije dziarskość i fantazya czysto polska.

Natomiast, w bardzo prosty, a zarazem przekonywający sposób tłomaczy Witkiewicz drogę, którą dążyła wyobraźnia twórcza Kossaka, ta wyobraźnia, dzięki której w graniu rogów myśliwskich słyszało ucho jego dalekie echo pobudki bojowej, lecącej ze stepów ukraińskich, puszcz Bukowiny lub pomorza inflanckiego. „Raz dojrzawszy zasadniczą łączność temperamentu i typu między szlachtą, szczującą wilki i dropie na stepach Ukrainy, a dawnem rycerstwem (Kossak), poszedł z nimi na stare pola bitew, zdejmował z nich myśliwskie kurty i baranie czapki, nakładał pancerze i hełmy, i szedł z nimi jak wicher na tureckie obozy, kosze tatarskie i kobylice szwedzkiej piechoty.“

Rozwijając swą tezę zasadniczą o wyjątkowej wszechstronności Kossaka, Witkiewicz stara się obalić twierdzenie, jakoby ten był wyłącznie malarzem koni. Jako „dowód przeciw,“ przytacza autor szkic ołówkowy, będący ilustracyą do znanej piosenki dziecinnej:

Tak pan jedzie po obledzie,
Sługa za nim ze śniadaniem etc.

Po pierwsze—jeden szkic, to trochę zamało, aby określić rys charakterystyczny artysty i w dodatku rys tak ogromnie ważny, jak *odczuwanie człowieka*; po drugie zaś—wydobywając z całej niezmiernie obfitej skarbnicy twórczej Kossaka jeden tylko drobiazg, zrobiony, wedle własnych słów Witkiewicza, „dla zabawy wnucząt zapewne“ i tchnący, dodajmy, nieco karykaturą, autor mimowoli szkodzi własnej tezie. Istotnie, jeżeli z całego tłumu mniejszych lub większych kompozycyj wydobywamy jeden zaledwie szkic, na którym człowiek jest również charakterystyczny, jak i koń, czyż nie będzie to dowodem, że odczuwanie człowieka nie leży w duszy artysty? I tak było istotnie. Kossak umiał co najwyżej tworzyć typy: szlachcica, rycerza średniowiecznego, dojeżdżacza, kozaka: nie odczuwał zaś wcale indywidualności; jego ludzie — w porównaniu z końmi — są niemal pozbawieni charakteru osobistego, są szablonami typów i ras. Nawet ilość tych typów była ograniczona, bo Kossak, ile razy opuszczał wieś lub pola bitew, by przejść z ołówkiem lub pędzlem na ulice miejskie, według własnych słów Witkiewicza, tworzył karykatury.

Wogóle wnioski swoje Witkiewicz wysnuwa nieraz zbyt nieostrożnie, zbyt pochopnie. Oto jeszcze jeden wymowny wielce przykład: „Wśród pozostałych po nim (tj. po Kossaku) szkiców i notatek—pisze autor na str. 197 — znalazła się karta z podpisem Zyblikiewicza, wzywająca Kossaka do jakiegoś głosowania, jako obywatela Krakowa. Kossak zamiast położyć swój podpis we wskazanem miejscu, użył tej karty do naszkicowania na obydwóch jej stronach i we wszystkich kierunkach całego mnóstwa ludzi, koni i psów. Kartka ta, to bardzo ciekawy i charakterystyczny dokument do poznania pewnych stron talentu Kossaka, *wymowny dowód tej ciągłej gotowości tworzenia, tego bogactwa form i zjawisk w każdej chwili obecnych w jego umyśle.*“ Zaznaczmy, że owa karta nosi datę r. 1879; Kossak miał podówczas po za sobą trzydzieści pięć lat pracy artystycznej. Czyżby więc ta karta nie mogła również dobrze, a nawet daleko lepiej świadczyć o *rutynie*, którą zdobył artysta w ciągu swej długoletniej działalności, poświęconej właśnie malowaniu „ludzi, koni i psów“? Czyżby Witkiewicz - malarz nie pojmował zwodniczości dowodu, przytoczonego przez Witkiewicza - pisarza? Wszak zrosztą w danym wypadku rozbiór szczegółowy całej ogromnie obfitej twórczości Kossaka daje zupełnie dostateczne dowody „tej ciągłej gotowości tworzenia, tego bogactwa form i zjawisk, w każdej chwili obecnych w jego umyśle.“

Pomimo wszelkich zarzutów, nie da się zaprzeczyć, że praca Witkiewicza daje niezmiernie ciekawą—może nie we wszelkich, obficie nagromadzonych szczegółach wierną—ogromnie plastyczną charakterystykę Juliusza Kossaka. Autor nic opuścił niczego: kolejno przesuwa się przed nami Kossak — człowiek o rysach niezmiernie czystych i pogodnych, Kossak—w początkach swej twórczości, szukający, pragnący, studyujący swą sztukę na każdym kroku, gdzie się objawia życie, artysta dojrzały, niezmiernie płodny; niezmordowanie pracowity, szczerze utalentowany i szczerze rozmiłowany w swej sztuce. Witkiewicz nie pominął żadnego rysu jego postaci i działalności: wskazał znaczenie jego dla sztuki polskiej wogóle, dla ilustracyi—w szczególności. Takiej charakterystyki nie doczekał się jeszcze żaden artysta polski — nawet Matejko. A gdy się myśli o tym ostatnim, mimowoli chce się włożyć pióro w dłoń Witkiewicza, który przez znajomość i umiłowanie przedmiotu i przez swój talent pisarski zdaje się do monografii takiej byłby stworzony.

Bo Witkiewicz ma talent i temperament pisarski ogromny. Słowa jego mają polot i blask, siłę i poezyę. Moglibyśmy przepisać całe ustępy z „Juliusza Kossaka,“ tchnące ogromnym wdziękiem, siłą i poezyą języka. Zwłaszcza stronice, poświęcone „Rokowi myśliwca,“ obfitują w ogromne obrazy, pełne prawdy, świeżości i nastroju. Lecz jego temperament ognisty, tchnący zawsze jakąś werwą polemiczną, rzucający myśl za myślą, obraz za obrazem, wiecznie i niezmordowanie szybko dążący do zakreślonego celu, nie pozwala mu zatrzymywać się nad drobnostkami, nad głębokością ustępu poszczególnego, poprawnością oddzielnego zdania. Witkiewiczowi wprost braknie cierpliwości do wygładzania, poprawiania, cyzelowania swego z natury silnego i pięknego języka. Dlatego też nieraz trafiają się ustępy, brzmiące jak „zgrzyt żelaza po szkle,“ zdania, rażące wadliwością konstrukcyi, krające ucho lub wprost niezrozumiałe.

Witkiewicz w swoim „Juliuszu Kossaku“ bierze, jak zwykle, dzieło lub człowieka za sposobność do wypowiadania swych poglądów estetycznych. Dzięki temu, co chwila odbiega od tematu, czy to wkraczając w specyalne rozważanie techniki malarskiej, czy to streszczając dzieje konia w sztuce, czy to poddając krytycznemu rozbiorowi kierunki, prądy, idee itp. Niewątpliwie, dywersye takie szkodzą spoistości dzieła, lecz natomiast są zawsze interesujące, a nieraz — prawdziwie oryginalne. Nie zatrzymamy się na nich; chodzi nam bowiem w tej chwili jedynie o samą osobistość Kossaka, a rozbiór ich i ewentualna polemika z poglądami Witkiewicza przekroczyłaby ramy i cel niniejszego artykułu.

Michał Mutermilch.

SPRAWY EKONOMICZNE

Z ZAGONU CHŁOPSKIEGO.

II. Kredyt długoterminowy.

Jeden z głównych warunków rozwoju ekonomicznego i utrwalenia bytu włościan — kredyt w najszerszem znaczeniu, nie jest należycie zorganizowany. Wyłączna instytucya — Bank włościański, ma na względzie jedną tylko, acz bardzo doniosłą dziedzinę potrzeb: pożyczki na kupno ziemi. Ale i tutaj doświadczenie wykazało, że pomoc w tej formie bez innych organizacyj jest bronią obosieczną, o czem najlepiej świadczy zbyt znaczny procent wystawionej na licytacyę ziemi, nabytej za pomocą Banku włościańskiego. Zbyt uciążliwa i zawiła formalistyka kancelaryjna zrobiła to, że kredyt ten był w gruncie rzeczy bardzo drogi. Kilkakrotne jednak zmiany i uzupełnienia ustawy świadczą, iż sfery ustawodawcze dążą do sharmonizowania zadań instytucyi z istotnemi potrzebami życia.

Co do kredytu włościańskiego na potrzeby bieżące, na kapitał obrotowy, grunt prawny już całkiem przygotowano. Jest nim prawo o drobnym kredycie z d. 1-go czerwca 1895 r. i normalna ustawa towarzystw pożyczkowo-oszczędnościowych, zatwierdzona d. 25 kwietnia (n. s.) 1896 r. W r. 1900 powstał centralny Bank kredytu drobnego. Obecnie więc tylko chodzi o to, ażeby możliwie najliczniej rozrosły się filie tej instytucyi — towarzystwa pożyczkowo - oszczędnościowe, zastosowane do potrzeb ludności wiejskiej. W Cesarstwie, tudzież w Niemczech i Austryi, jest już bardzo dużo takich ognisk, które nieocenione usługi oddają ludności włościańskiej.

Ale chociażby nawet, w najlepszym razie, powstały one dość licznie i u nas, nie zaspokoi to jeszcze całkowitych potrzeb ludu w tej mierze. Brak jeszcze bardzo ważnej zasadniczej organizacyi: kredytu długoterminowego, opartego na ziemi chłopskiej. Są tutaj wszakże bardzo poważne przeszkody. Rozpowszechniło się dość szeroko pojęcie prawne, uświęcone nawet wyrokami senatu, o niemożności zakładania hipotek dla uwłaszczonych osad włościańskich; nadto, niektóre sądy stawiają przeszkody pod tym względem. Oczywiście bez hipoteki nie można myśleć o kredycie ziemskim.

Sprawę tę wyjaśnił dokładnie p. Kirszrot-Prawnicki w poważnej swej pracy („Długoterminowy kredyt włościański“). Na początku stulecia ubiegłego, kiedy skutkiem klęsk politycznych i ekonomicznych większa własność ziemska upadała pod ciężarem długów nadmiernych i powstała potrzeba ratowania jej za pomocą kredytu ziemskiego, natenczas zrodziła się taka sama trudność, jaka wynikła obecnie przy organizacyi kredytu włościańskiego: wadliwy system hipoteczny kodeksu Napoleona. Wtedy wszakże, dzięki przyśpieszonemu ruchowi prawodawczemu, potrzebę tę szybko zaspokojono. Na sejmie w r. 1818 uchwalono nowe prawo hipoteczne, którego jednak moc obowiązującą zastosowano do miast gubernialnych i tylko do większej własności ziemskiej, ze względu na pilną potrzebę jej ratowania. Dwa odmienne systemy hipoteczne (jeden dla większej, drugi dla mniejszej własności) nie zgadzały się wcale z potrzebami istotnemi, więc na sejmie z r. 1825 zastosowano moc obowiązującą prawa hipotecznego do wszystkich bez wyjątku własności nieruchomych w kraju, z takiem urządzeniem, że dla większej własności ziemskiej i dla miast gubernialnych siedlisko hipoteki, zwanej gubernialną, umieszczono przy obecnych sądach okręgowych, dla wszelkiej zaś pozostałej utworzono hipotekę powiatową, czyli okręgową (z siedliskiem przy sądzie pokoju). Różnica główna pomiędzy obiema hipotekami polega na tem, że gubernialna jest przymusową dla wszystkich większych dóbr ziemskich i nieruchomych w obrębie miast gubernialnych, zakładanie zaś ksiąg -hipotecznych w hipotece okręgowej dla małej własności ziemskiej i dla nieruchomości w miastach niegubernialnych pozostawiono dowolności ich właścicieli, a ponieważ drobni właściciele

miejscy i wiejscy albo nie rozumieją, albo nie czują jeszcze potrzeby instytucyi hipotecznej, więc nieruchomości mniejsze przeważnie dotąd jeszcze nie mają hipotek urzędowych.

Uwłaszczenie włościan wpłynęło na sprawę hipoteki dla drobnej własności ziemskiej. Dopóki grunty chłopskie stanowiły składową część dóbr dominialnych, póty nie były objęte hipoteką tych dóbr; a więc dług zaciągnięty przez właściciela dominialnego obciążał jednocześnie grunty chłopskie, jako część składową jego dóbr. Na mocy Ukazu z r. 1864 uwolniono grunty włościańskie od wszelkich zobowiązań na rzecz dominiów i osób trzecich.

W przepisach o wydaniu listów likwidacyjnych z d. 16 stycznia 1865 r. polecono wydziałom hipotecznym wykreślić z wykazów hipotecznych dobr dominialnych grunty przeszłe na rzecz włościan tudzież zobowiązania przez samych włościan zaciągnięte i zabezpieczone hipotecznie na ich prawach. W przepisach zrobiono zastrzeżenie, że władze hipoteczne obowiązane są zakładać oddzielne hipoteki okręgowe dla tych osad włościańskich, które są obciążone długami. Następnie Komitet urządzający w instrukcyi, wydanej dla wydziałów hypotecznych, z d. 7 września 1865 r., polecił, aby kopie *wszystkich* wpisów i zastrzeżeń, powykreślanych z hipotek dominialnych a odnoszących się do praw włościańskich, przesłane były pisarzom sądów pokoju celem założenia hipotek okręgowych dla wyłączonych z hipoteki gubernialnej gruntów włościańskich. „Gdyby polecenie to — twierdzi p. Kirszrot — było w swoim czasie wykonane, wszystkie osady włościańskie miałyby z urzędu założone hipoteki okręgowe i pierwsza ta trudność, którą obecnie napotykamy na drodze do ziemskiego kredytu włościańskiego, byłaby stanowczo usunięta.“ Tymczasem komentarze, za których pomocą usiłowano wyjaśnić to postanowienie Komitetu urządzającego, „do tego stopnia je zaciemniły, że nietylko nie przystąpiono do regulacyi hipotek włościańskich z urzędu, ale nawet zakwestyonowano byt i legalność hipoteki włościańskiej wogóle. „Pomimo wyraźnego polecenia, aby kopie wszystkich wpisów i zastrzeżeń przesłano do pisarzów sądów pokoju celem zakładania hipotek okręgowych, niektóre sądy przypomniały sobie, że w przepisach o wydawaniu listów likwidacyjnych jest mowa tylko o hipotekach dla gruntów włościańskich, obciążonych długami; udały się przeto do zwierzchniej władzy z zapytaniem: czy hipoteki okręgowe mają być zakładane dla wszystkich uwłaszczonych osad włościańskich, czy tylko dla tych, które są długami obciążone“? Komisya Rządowa Sprawiedliwości zwróciła się następnie po wyjaśnienie do Komitetu urządzającego, przyczem uczyniła ze swej strony wniosek, że właściciele osad wolnych od długów nie powinni być w gorszem położeniu od właścicieli gruntów odłużonych, że jeżeli hipoteka ma być urządzona dla jednych, byłoby niesprawiedliwością nie obdarzyć tymi przywilejami i tych, „których jedyną winą było to, że są rządni i w długi nie popadli.“

Komitet urządzający nie przychylił się do tego wniosku. W rezultacie więc Komisya sprawiedliwości wydała rozporządzenie, ażeby zakładać hipoteki dla tych tylko osad włościańskich, które są obciążone długami hipotecznymi, natomiast nie należy zakładać dla wszelkich innych osad aż do czasu, gdy na to rząd wyda pozwolenie. Otóż w rozporządzeniu tem, jak słusznie zaznacza p. Kirszrot, tkwi błąd zasadniczy: ani Komitet urządzający, ani Komisya sprawiedliwości nie miały władzy uchylić prawa o przywilejach i hipotekach z r. 1825, które z art. 11 stanowi, że „regulacya hipoteczna każdej szczegółowej nieruchomości przedsięwziętą zostanie, gdy o to zajdzie żądanie ze strony interesowanej.“

„Komitet urządzający wcale też przepisu tego się nie dotknął i uchylić go bynajmniej nie miał zamiaru; polecenie jego miało jedynie na celu zakładanie hipotek z urzędu, co było koniecznem dla osad, obciążonych długami. Przy wypłacie bowiem listów zastawnych wykreślono z urzędu długi zahipotekowane na gruntach włościan, nie można przeto było bez pogwałcenia praw wierzycieli pozostawić ich wpisów bez przeniesienia do nowych ksiąg hipotecznych, których zakładanie stało się z tego powodu niezbędnem.“

Dla osad uwłaszczonych, wolnych od długów, konieczność ta nie istniała, gdyż prawa osób trzecich nie były zagrożone. Ponieważ nie było wierzycieli, nie miano więc co przenosić do nowych ksiąg hipotecznych. Pozostawiono tedy każdemu interesowanemu swobodę hipotecznego uregulowania swojej nieruchomości. Komisya sprawiedliwości niewłaściwie interpretowała rozporządzenie Komitetu urządzającego. Z tego, że nie należy zakładać z urzędu hipotek dla nieodłużonych osad włościańskich, wyprowadziła ona mylny wniosek, jakoby nie było wolno zakładać dla nich hipotek, nawet kiedy strona interesowana sama pragnie uregulować hipotecznie osadę swoją.

Mylną drogą Komisyi sprawiedliwości poszła także jurysprudencya sądowa. Późniejsze jednak akty prawodawcze stwierdziły możność zakładania hipotek dla wszelkich gruntów włościańskich, obciążonych i nieobciążonych długami. Wymownie to stwierdzają ustawy Towarzystwa kred. ziem. z r. 1869 i 1888, jak również Najwyższe postanowienie z d. 3 lipca 1871 r., które pozwalają udzielać pożyczki na posiadłości włościańskie, nie czyniąc żadnej różnicy pomiędzy osadami odłużonemi i nieodłużonemi (uwłaszczonemi i nieuwłaszczonemi). Gdyby nie wolno było zakładać hipotek, przepisy te nie miałyby racyi bytu. Jest jeszcze jeden dowód bardzo ważny w Najwyżej zatwierdzonem (11 czerw. 1891 r.) zdaniu Rady państwa o sposobie zbywania, zastawiania i dzielenia osad i gruntów włościańskich. Stanowi ono, że nie zabrania się włościanom zabezpieczać hipotecznie zaciągniętych przez nich pożyczek.

Wielka stała się krzywda, jak zaznacza p. Kirszrot, nietylko sprawie kredytu włościańskiego, ale i całej wogole sprawie własności włościańskiej, że pierwotne postanowienie Komitetu urządzającego (z d. 2 września n. s. 1865 r.), polecające obowiązkowe zakładanie hipotek okręgowych dla wszystkich gruntów włościańskich, wyłączonych z hipotek gubernialnych, nie było wykonane w taki sam sposób, jak w stosunku do większej i średniej własności ziemskiej, wykonano po r. 1818 ustawę hipoteczną.

Późniejsze postanowienie Komitetu urządzającego, które stosuje obowiązkowe zakładanie ksiąg hipotecznych tylko do osad odłużonych, pochodzi stąd, iż chciano ochronić ludność wiejską od zaciągania długów, które wrzekomo ułatwiłaby przedwczesna regulacya hipotek. Pojęcie to błędne, gdyż instytucya hipoteczna nie ma na celu wyłącznie ułatwiania zaciągania długów, lecz inne ważne zadania: zabezpieczenie praw i interesów właściciela nieruchomości i jego wierzycieli.

Jak widzimy, wyjaśnienie tych spraw ma doniosłe znaczenie dla utrwalenia bytu i rozwoju ekonomicznego włościan naszych. Przedewszystkiem należyte uregulowanie hipotek usunęłoby chaos w interesach włościanskich, który coraz bardziej wzrasta i coraz trudniejszym staje się do usunięcia, następnie zaś ułatwiłoby organizacyę kredytu długoterminowego. Potrzebę tę miało na względzie kiedyś Tow. kredytowe ziemskie. Przy założeniu tej instytucyi w r. 1825 minimalną wartość dóbr, kwalifikujących się do korzystania z kredytu, ustanowiono na 1,500 rb., a najniższą pożyczkę na 900 rb. W r. 1838 minimalną wartość dóbr zniżono do 750 rb., a najmniejszą pożyczkę do 450 rubli. Ze względu na nowe stosunki, wytworzone przez uwłaszczenie włościan, prawo z r. 1869 pozwoliło ogarnąć Towarzystwu wszelkie dobra ziemskie, mające hipotekę gubernialną, nie kładąc żadnych granic co do wartości i rozległości, z jednem tylko zastrzeżeniem, ażeby posiadłości, niedochodzące do 90 morgów, miały ustalone granice i nie były przedzielone obcą własnością. Warunek ten postawiono tylko dla uwłaszczonych posiadłości; wszelkich innych nie ograniczono pod względem rozległości, a więc najmniejsze gospodarstwa mogły korzystać z kredytu Towarzystwa minimum 100 rb., gdyż na niższą sumę Towarzystwo nie mogło wydawać listów zastawnych.

W ustawie z r. 1888 Towarzystwo cofnęło te przywileje dla drobnych posiadłości. Te, których wartość nie wynosiła 1,000 rb. i które przytem nie kwalifikowały się do otrzymania pożyczki w sumie 500 rb., nie mogą korzystać z kredytu Towarzystwa. Motywem tego ograniczenia było przeciwdziałanie zbytniemu rozdrabnianiu własności ziemskiej.

Według statystyki urzędowej, średni rozmiar własności włościańskiej w Królestwie Polskiem jest następujący: w gub. Kieleckiej 4,9 dziesięciny, Kaliskiej 5,5, Płockiej 6.2, Piotrkowskiej 6,4, Radomskiej 6,6, Warszawskiej 6,7, Łomżyńskiej 7,7, Lubelskiej 8,3, Siedleckiej 9,8, Suwalskiej 11,9. Wogóle w całym kraju na jedno gospodarstwo włościańskie przypada gruntu przeciętnie 7,2 dziesięciny (mniej, niż 15 morgów). Trzeba jeszcze wziąć to pod uwagę, że znaczna część działów rodzinnych dokonywa się po za obrębem formalności prawnych, a więc faktycznie znaczna część gospodarstw posiada mniej gruntu, niż wykazuje statystyka urzędowa. Wobec takiego stanu rzeczy kredyt dla gospodarstw, których minimum obszaru wynosi 15 morgów, uszczęśliwić może tak małą cząstkę właścicieli, że nawet nie ma racyi bytu. Towarzystwo kredytowe ma jeszcze inne motywy na usprawiedliwienie podwyższenia minimum pożyczek ze 100 na 500 rb.: koszty złożonej procedury udzielania pożyczek i hipotecznego ich zabezpieczenia. Koszty te, stosunkowo nieznaczne przy sumach większych, niepomiernie obarczają pożyczki drobne i czynią kredyt tej kategoryi bardzo drogim.

(D. n.).

Zen. Piet.

KRONIKA.

Prawo bezpłatnego wysyłania pocztą przesyłek przysługuje, według świeżo podanego wyjaśnienia, tylko tym instytucyom, które z rozkazu Najwyższego lub z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych otrzymały na to pozwolenie i to wtedy, jeśli przesyłka jest własnością danej instytucyi lub skarbu.

Kryzys ekonomiczny. Podobno jedna z największych fabryk żelaznych w Królestwie znalazła się w trudnem położeniu finansowem. Dla uratowania zakładów, dających pracę wielu tysiącom robotników, wierzyciele weszli z właścicielami w umowę. Roboty nie były przerwane.

Hakata na Górnym Śląsku rozwija się pomyślnie. Według ogłoszonego sprawozdania, przybyło jej w 1899 r. 770 członków obecnie związek liczy 2,802 członków i 22 towarzystwa. Usiłowania jego wytężone są w kierunku zakładania po wioskach bibliotek hakatystycznych, sprowadzanie lekarzy i ad-

wokatów Niemców do polskich miejscowości. Na czele związku stoi dr. Borensehen, który w zeszłym roku objechał cały Górny Śląsk i w piętnastu miejscach miał odczyty.

Wiadomości społeczne. Ministeryum skarbu, jak donoszą dzienniki petersburskie, wniosło do rozpatrzenia rady państwa projekt przepisów dla towarzystw zarobkujących, czyli związków roboczych. Nowy projekt po raz pierwszy w prawodawstwie rosyjskiem wprowadza zasadniczą różnicę między towarzystwami zarobkowemi, tj. takiemi, których każdy członek w postaci udziału wnosi swoją pracę, a towarzystwami majątkowemi, których każdy członek wnosi pewną kwotę pieniężną. Według art. 1 projektu, związki robocze operują na wspólny rachunek i za poręką solidarną uczestników: na mocy zaś art. 24 zatwierdzanie ustaw związków powierzane będzie gubernatorom, gdy obecnie zależy od decyzyi wydziału handlowego ministeryum skarbu.

Praca nad ludem w Galicyi. Aleksander ks. Radziwiłł, właściciel dóbr Sieraków z przyległościami, wpadł do chaty włościanina Jędrzeja Barana, w towarzystwie dwóch fornali dworskich, i wśród przekleństw i złorzeczeń uderzył go laską w głowę tak silnie, że Baran upadł na ziemię krwią zalany, skutkiem czego przeleżał 8 dni w domu a przez 14 następnych nie był zdolny do pracy. Powodem zajścia była krowa, którą chciano zafantować. Włościanin na zasadzie oględzin lekarskich zaskarżył księcia. Sędzia powiatowy w Dobczycach wydał wyrok, na mocy którego ks. Radziwiłł obowiązany był zapłacić Baranowi 2 korony „za ból," 5 koron 98 hal. za koszta leczenia, a oprócz tego dla ubogich 15 koron. W motywach wyroku powiedziano, iż „wysokość kary zastosowaną została dokładnie do przewinienia i majątku oskarżonego."

Nauka. W Batawii, na wyspie Jawie, wyszło dzieło dr. M. Raciborskiego p. t. „Pasorzytnicze wodorosty i grzyby Jawy," w języku niemieckim, nakładem instytutu botanicznego w Buitenzorgu. Dotychczas znano tylko 23 gatunki pasorzytniczych grzybów i wodorostów na Jawie, tymczasem dr. Raciborski opisał 101 gatunków. Nowoodkryte podzielił na 17 rodzin, którym nadał nazwy wzięte przeważnie z poematów polskich, jak: Balladyna Kordyana, Irydonia itp.

Nowa plaga. Podobno na Podolu galicyjskiem pojawiła się nieznana dotąd czarna gąsienica, która posuwając się w kierunku Besarabii, pożera wszystkie bez wyjątku rośliny, które na swej drodze spotyka, nawet tytuń. Rolnicy są bezsilni wobec tej klęski, bo nie wiedzą, jak się bronić.

Przemysł i handel. Kopalnie węgla w zagłębiu dąbrowskiem zmniejszyły liczbę dni roboczych z 6 na 4 w tygodniu, z powodu małego zapotrzebowania węgla.

— *Gaz. losowań* otrzymała od swego korespondenta z Petersburga wiadomość, iż kancelarya kredytowa przy ministeryum skarbu wniosła projekt uzupełnienia instytucyj bankowych i kredytowych nowym rygorem: ażeby członkowie rady czy zarządu jednej instytucyi nie mieli prawa zajmowania takichże posad w innych instytucyach.

— W gub. Piotrkowskiej w r. 1890 było robotników fabrycznych 73,606, których produkcya wynosiła 11,739,741 rb.: w roku 1899 liczba pierwszych wzrosła do 130,000, produkcya zaś do 179,500,649 rubli.

Zmarli. Zbigniew Edmund Brodowski, konsul St. Zjedn. we Wrocławiu, założyciel i współpracownik *Gazety chicagoskiej* i *Zgody*, zasłużony wśród wychodźców polskich w Ameryce.

— Dr. Bosse, były pruski minister oświaty, szowinista niemiecki i wróg Polaków. Za jego rządów nauka języka polskiego w szkołach elementarnych zeszła do 1, najwyżej 2 godzin tygodniowo, a wykład religii w języku polskim został zupełnie zniesiony. Ze stanowiska ministra został usunięty przed półtora rokiem. Lecz następca jego, dr. Studt, prowadzi dalej rozpoczęte dzieło.

— Dr. Józef Kaizl, wybitny czeski polityk i ekonomista, b. minister skarbu w gabinecie hr. Thuna. Dzielna siła polityczna i umysł gruntowny.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu R. w Kadnikowie. Księgarnia, której poleciliśmy zaprenumerować pismo, polecenia nie załatwiła. Reklamowaliśmy. Już wysłane.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава, 9 Августа 1901 года. Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.